

Nr 2 (45)
2011



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Roman Habdas

Woda, mur i... myszka

Nie bardzo chciałem i nie bardzo mogłem, ale pojechałem do Warszawy na XXX Zjazd Związku Literatów Polskich. Oprócz mnie, obecnymi na zjeździe delegatami byli: prezes Oddziału Gorzowskiego Ireneusz K. Szmidt i sekretarz Jerzy Gąsiorek.

Nie bardzo mogłem, ale dobrze zrobiłem, że pojechałem. Kolejny raz przekonałem się, że prowincja wcale nie jest poza Warszawą. Po nocy spędzonej w kształcie paragrafu na autobusowym fotelu nie byłem zdolny pomachać królowi Zygmuntowi niezmiennie stojącemu wysoko na kolumnie. Liczyłem jednak, że po wejściu do siedziby Związku zdołam sięgnąć po filiżankę kawy lub herbaty. A tu niespodzianka. Tylko woda w 19-litrowym baniaku z tubą plastikowych kubków, których jak się miało okazać, zabrakło jeszcze przed półmetkiem obrad. Bieda w naszym Związku, aż piszczy!

Gdybym w dniu Zjazdu 7 maja 2011 roku wiedział, że tydzień później usłyszę, iż nasz Rząd chce wreszcie przeznaczyć na kulturę 1% dochodu narodowego, to pewnie moje spojrzenie na ubogą oprawę Jubileuszowego (jakby nie było) Zjazdu byłoby łagodniejsze. Kto może jednak wiedzieć, czy jednoprocentowa obietnica nie jest tym samym, czym zapewnienia wicemarszałka Sejmu Jerzego Wenderlicha, który jako jedyny z polityków pojawił się i przez kilka minut zapewniał literatów, jak dobrze będzie polskiej kulturze po objęciu władzy przez partię, którą reprezentuje? Oj, zapachniało kiełbasą wyborczą... A w brzuchu burczało, bo widoku na jakiegokolwiek kanapki i ciepły napój nie było żadnego.

Gulasz z bułką

Ale dosyć polityki i polityków, którzy literatów mają głęboko w nosie. Tak głęboko, że na Zjeździe oprócz owego posła, który miał za dwadzieścia minut pociąg do Krakowa, nie pojawił się nikt z Rządu, nie mówiąc o kimś z jakiegoś ważnego urzę-



*Przy mównicy XXX Zjazdu ZLP
prezes Marek Wawrzekiewicz*

Mirosław Wielgoliński

Pod drzewem wiśni

**Leniwy wietrzyk pięści mi twarz
Przelicza włosy gęste od myśli
Powiedz, czy takie uczucie znasz
Leżeć w hamaku
pod drzewem wiśni?**

**Bez polityki i pustych słów
Bez sieczki, kiczu, oper
mydlanych
Zażywam sobie beztroskich snów
Pod drzewem wiśni
dla mnie schowanych**

**Leżę pod wiśnią znudzony nudą
Pod powiekami rosną mi palmy
Przytulam twoją czuprynę rudą
I mam kolejny sen tropikalny**

**Popijam piwko chłodne jak deszcz
Od żaru słońca chronią mnie liście
Tuż obok w trawie
świerszczy mi świerszczy
I tak mi dobrze jest oczywiście.**

Marek Grewling

DZIEKUJEMY UPRZEJMIE

Wasilij Grossman (1905-1964) na dobre wszedł do literatury światowej dzięki stylowi, narracji, poruszanej problematyce, a przede wszystkim odwadze podejmowania wyzwań, jakie stawia przed pisarzem – rosyjskim szczególnie – zagmatwana historia minionego stulecia. Temu właśnie wyzwaniu pisarz stawia czoła na kartach powieści „Wszystko płynie”. Nie wyręczając potencjalnego czytelnika z lektury powieści tylko, że akcja powieści osadzona jest w pierwszych latach tzw. „odwilży” po śmierci generalissimusa Stalina. Bohaterowie żyli dotąd w błogim przekonaniu, że wszystko co robią – prawie czy nieprawie, ma usprawiedliwienie służbą najlepszej z ziemskich idei, którą budują wspólnie z towarzyszem Stalinem. I oto nadszedł czas poststalinowskich rozliczeń. Prawda ujrzała światło dzienne i okazało się, że nie wszystko było tak jednoznaczne. Okazało się też, że nie wszystkie postawy – tak w słowach, jak i czynach – da się usprawiedliwić. Można się łatwo domyśleć kontekstów i kolorytu moralnego powieści. Ale niekoniecznie rozliczenia z ideologicznymi zakrętami są główną osią dzieła Wasilija Grossmana. Owszem, siłą rzeczy autor musiał nawiązywać do historii politycznej, jednak w jej głównym nurcie stoi człowiek. Główny bohater Iwan Grigorjewicz próbuje zracjonalizować współczesną mu rzeczywistość. Zracjonalizować to w pojęciu pisarza tyle co pojąć własnym rozumem i dokonać uczciwej oceny. Wbrew pozorom nie jest to wcale takie łatwe. A w czasach, kiedy dzieje się akcja powieści, było to zadanie szczególnie trudne, więc niewielu podejmowało się go, decydując się na bezrefleksyjne przeżywanie kolejnych dni

...Lato, lato, jak się masz?

Jeszcze dwa numery przed Państwem (Wami): jesienny i zimowy, więc ten, wypada, żeby był letni. Dlatego na stronie tytułowej, obok niewątpliwie poważnych rozważań literackich Marka Grewlinga, niepoważny wierszyk o bimbanii poety w hamaku pod wisienką. Niech mu zazdroszcza „świerszczenia świerszczy” ci, co pakują już walizki, by wakacje spędzić w klimacie śródziemnomorskim. Tam bowiem się nie pobimba, bo już od rana w uszach świdrują cykady, a spać nie dają skutery bez tłumików. Po długiej zimie wiosna poczęstowała nas za darmo południowym gorącym klimatem. Ciepłej także w kulturze. Niestety, za IX Symfonię w Filharmonii trzeba było słono zapłacić.

W pierwszych dniach maja pojechałem wraz z Romkiem Habdasem i Jurkiem Gąsiorkiem na XXX, jubileuszowy, najbiedniejszy w historii, Zjazd Związku Literatów Polskich, Romek opisuje go na następnych stronach z ciepłym sarkazmem godnym letniej lektury. Gorzowskich niezłych książek ostatnio sygnęło do czytania latem niemało. Nagle pojawili się prozaicy: Anna Strzelec (gratulacje za przyjęcie do ZLP), Aneta Gizińska-Hwozdyk, Waldemar Szymczak czy Alicja Jarno, która, stremowną debiutantkę, komplementami dopieszczała publiczność wieczoru promocyjnego w „Lamusię”. Czwartą poetycką książkę pt. „Zabawa w chowanego”, uznaną już za wydarzenie literackie, wydała Beata P. Klary, która kosi nagrody na prawie wszystkich konkursach w kraju. Wszystkie te książki i jeszcze inne zapóźnione z zimy omawiają recenzenci na kolumnach „Szkoły krytyki” i „Premiery książek”.

Osobnym zjawiskiem, które w naszym grajdole (termin nadzwyczaj letni) zaczyna się coraz śmielej pojawiać, to wreszcie nieokazjonalne zainteresowanie polonistów gorzowskim życiem literackim. Coraz częściej szturmują nasze e-maile, telefony i domy studenci i uczniowie po wywiady i rozmowy (zadane im przez profesorów), jako tematy prac przejściowych lub dyplomowych. Myślę, że nie tylko moja żona i ja ich nie przeganiamy – wręcz przeciwnie, chętnie zapraszamy, a inni nasi poeci i pisarze robią podobnie. Tematy ich prac dotyczyły społecznej i środowiskowej funkcji naszego „Pegaza”, poezji i literatury regionalnej, warsztatu pisarskiego, debiutów, zwłaszcza młodych twórców, a także teatru. Ostatnio wziął mnie na spytki uczeń II LO, Emil Koźbiał. Wywiad ze mną, który był skutkiem jego odwiedzin, uznałem za godny druku, nie tylko z osobistej satysfakcji, że mam jeszcze pamięć, która może być potrzebna nie tylko mnie. Emil do rozmowy sumiennie się przygotował. Słów usłyszanych nie zgubił, myśli nie poskręcał, jak to często się „wywiadowcom” zdarza. Drugi wywiad, uczennica tego samego Liceum, Ania Antosz przeprowadziła w niezwykle finezyjny sposób ze swoim profesorem Waldemarem Szymczakiem, autorem prezentowanej dziś powieści pt. „Pysk zółwia”. Chętnie udostępniam łamy „Pegaza”, także dla ich twórczości. Z II LO wyszły takie indywidualności poetyckie, jak Małgorzata Prusińska, Agnieszka Moroz i Natalia Pałczyńska. Z innych szkół też kilka – ostatnio z I LO Alicja Łukasik. Wszystkie debiutowyły w „Pegazie Lubuskim”. Teraz za pisanie zabrali się „belfrowie”. I dobrze. Pogratulować im udanych debiutów. Zachęcamy do pójścia w ich ślady. Następnym numerem po wakacjach. Czekam na teksty do połowy września.

Red. nac. Ireneusz K. Szmidt

c.d. ze str. 1

w możliwie spokojny i bezpieczny sposób. Iwan jest refleksyjny. Iwan definiuje rzeczywistość. To on dochodzi do wniosku, że los umieszcza człowieka w przedziwnych okolicznościach, gdzie – bywa – samo podjęcie próby ocalenia wewnętrznej niezależności jest heroizmem. To właśnie o heroizmie walki o zachowanie siebie, człowieka wolnego wewnętrznie, choć zniewalanego na różne sposoby zewnętrznie, mowa w tym dziele. W ostatnim rozdziale powieści bohater wraca do źródeł swojej tożsamości – do domu nieżyjącego ojca: „Nie było jednak ani domu, ani studni (...) A on stał tam – siwy, zgarbiony, a mimo to ciągle ten sam, niezmienny”. Walka Iwana Grigorjewicza to strumień świadomości kogoś współczesnego, żyjącego w naszych kontekstach ekonomicznych, społecznych i politycznych. I jawi się kwestia: Czy dzisiaj nie jest trudniej ocalić własną wolność wewnętrzną? Pozornie wydaje się, że łatwiej. Jednak to tylko pozory, bo jakże się mają dzisiejsze wyrafinowane techniki prania mózgu do prymitywnych metod praktykowanych w Związku Sowieckim? Bez wątplenia „obróbka”, jakiej poddaje się człowieka w naszej epoce, jest intensywna, dyskretna i skuteczna. W jakim celu? Jest ich wiele. Począwszy od handlowo-merkantylnych, poprzez doraźne polityczne, na konstrukcjach społecznych kończąc. W tym momencie ocieramy się o rzeczywistość Nowego Wspaniałego Świata, która jakby niechcący, jakby przypadkiem – jednak nie mówiąc: „Przepraszam” – staje się ni mniej ni więcej tylko właśnie naszą własną rzeczywistością. Krok po kroku, gdy przed wielu laty czytałem „New brave world” („Nowy, wspaniały świat”) Aldousa Huxleya, syciłem się radośnie antyutopią niedowierzając w jej realizm. Dzisiaj widzę spełnianie się proroctw brytyjskiego wizjonera. Grossman zrobił o krok więcej, ukazuje czytelnikowi złożony mechanizm, który pozwala człowiekowi tak lub inaczej zniewolonemu, ocalić swoje „ja”. To szczególnie znaczące w dobie mody na rozliczanie z postaw przeszłości. Grossman mową swej powieści nawołuje: „Nie róbcie tego” i ukazuje człowieka popełniającego błędy z pełną świadomością nieprawości, a zarazem konieczności egzystencjalnej. Wręcz narzuca się marksistowska definicja wolności: „Wolność to uświadomiona konieczność”. Czy słusznie? A czy łatwiej powiedzieć: „Rozumiem?”. Wcale nie łatwiej, bo niełatwo pojąć to co przeżyć musiał drugi, i nie da się powielić wyborów z takiej czy innej konieczności. W imię czego? Właśnie w imię wolności, którą trzeba ocalić mimo owej „konieczności” otaczającej, pochłaniającej i nie do pokonania. W naszej współczesności, pełnej wymyślnych rozwiązań społecznych, zachłystującej się wolnością i sytą zapomnieniem o minionej „niezbywalnej konieczności”, jawi się to niepojętym. Jednak „Nowy wspaniały świat” wkroczył. Wprawdzie nie powieliła stricte matrycy przeszłości, nie krzyczy do nas prymitywnym syllogizmem mównic socrealu, wkrada się jednak i pozbawia wolności osobistej ludzi, którzy może są leniami, może konformistami lub pozbawionymi odpowiedniej wiedzy i nie chce im się powiedzieć wielkiego Kafkisowego „Nie” tym, którzy marzą o powrocie do władzy nad ludzką wolnością, o pokusie zbudowania „nowego wspaniałego świata” według takich czy innych pomysłów na ład społeczny, z pominięciem rozsądku i myśli. Mądrzy doświadczeni Iwana z „Wszystko płynie” Wasilija Grossmana stajemy z estymą wobec cudu wolności człowieka, dziękując przy tym uprzejmie projektantom „nowych wspaniałych” tak rozliczeń, jak i światów.

Marek Grewling

Marek Lobo Wojciechowski

przeddzień

Tyle świata co słów, którymi go zna.
Nic do zabrania, ukrycia w garści,
głowie – bezradność za ciemnymi
okularami oczu. Stróż przychodzi
szybciej i częściej, sprzątaczkę wołają
o nowe miotły; jest pewien plan,
ale zawodzi deszyfrator. Brygada
wciska się w zupełnie nierozpoznane
korytarze, ślepnie z braku danych.

Po tej stronie pachną bzy, to wszystko.
Ach, i kamienie kwitną mchem.

teksty znad morza

Dwa dni jazdy i kolejna plaża.
Żwir i zeschnięte skorupki tych,
którzy przed nami trafili w to miejsce.
Latarnia oddaje hołd zmarłym
przed stuleciami, latarnik hołduje
innym zajęciom. Wyrwywamy włosy
uśpionym wydmom, staczamy
słowne boje i puste flaszki;
dzwonią na skraju płaskiego, echo
rozprasza dźwięki. Nic nowego
nie wymyślimy. Powiesz potem:
Tym różnimy się od zwierząt,
że jesteśmy próżni. Latarnia oddaje hołd
zmarłym stuleciom, przed nami
doby powrotu i zasłyszane: sztuka jest
umiejętnością wiarygodnego kłamstwa.
Obracam to w ustach, gorzko.

Ultima Thule

Rozmowa klei się jak gorący asfalt,
ale sedno i tak wymknie się
tylnymi drzwiami. O tym samym,
tak różnie. Cóż z tego, że kruszeją
zasieki, murszeją bramy? Obce
reakcje próbujemy tłumaczyć
stosując dziwaczne kalambury,
może lepiej uczyć się na pamięć?
Odległe brzegi i fale, liżące
nogi, na oko, takim samym ptakom.
Mewy, rybitwy? Zbyt odległe;
nerwowe ściegi w drgających kadrach.
Twoje ciało – mapa nieznanego
uzależnień, znaczone krętymi ścieżkami
Konkwisty. Zbieram płochę łupy,
powierzchnową zdobycz. Rozdzieleni,
mającymi o pojednaniu. W czym śnie
się zdarzyłaś, z jakiego jestem snu?

fastener

W torbie znoszone trampki, na nogach sandałki,
zsunięte kolanówki; chłopiec skacze po dwie
płytki chodnika: pac, pac. Zza kwartału
turkocze tramwaj; stukot sunie po szybach
kamienic. Słońce i mrowie chrabąszczy,
takich samych jak te, które kiedyś tłukliśmy
rakietkami do badmintonu dziesiątkami, setkami.
W innym miejscu, mieście.

Tu nakładają się klisze, przenikają obrazy:
wszędobylskie słońce, chmury owadów, pac
plytek, rozwiana czuprynka, chude ramiona,
piegi na nosku. Jestem tym chłopcem/
patrzę na chłopca/ skaczę po dwie płytki/
przyglądam się jak skacze/ odganiem chrabąszcze/
odganiem chrabąszcze – w tym ruchu jesteśmy
jednym. Turkot tramwaju jest obcym,
nieistotnym wrętem, przypadkowym paprochem
na powierzchni zdjęcia.

sawanny

Kopce termitów świecą w ciemności –
to larwy chrząszcza lśnią seledynowo;
przepiękny widok lecz, na dnie obrazu,
najwycyżniejsza walka o przetrwanie:
światła te wabią termyty, by potem
służyły chrząszczom za pokarm.

Noc jest pramatką śmierci. Zaciemnia
widzenie, obiecuje niejasno; jak kopce –
choinki na spalonej ziemi, pełne, z pozoru,
darów, pełne objawienia jakiejś: prawdy?
Ostatnich rozczerowań. Nikt nie wgląda
do końca, ciemność jest łaskawa, tylko Księżyc –
po trosze obojętny, po trosze bezradny.

U nas – też walka ciągła, w blasku
reklam,
od pieluch, po zejście, i nie wiem:
termitem jestem, czy chrząszczem, przy
czym:
chrząszcza też ktoś zeżre.



WIERSZE NAGRODZONE NA OGÓLNOPOLSKIM
KONKURSIE LITERCKIM im. ZB. HERBERTA
w 2010 r. w TORUNIU

du, bodaj podsekretarza z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nie było też kamer telewizyjnych i radiowych mikrofonów, bo XXX Zjazd to mało medialne wydarzenie. Ot, takie literackie... ble, ble, ble.

Ze sprawozdania wygłoszonego przez ustępującego prezesa ZLP Marka Wawrzkiewicza odnotowałem, że „nasz związek nie jest pupilem władz”. (Czyżby prezes tęsknił do tamtych czasów, kiedy...?)

I bardzo dobrze, że pupilem nie jest! Literaci muszą być niezależni. A Związkowi Literatów Polskich czy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich należy się od każdej rządzącej opcji politycznej taki sam szacunek i godne dotacje! Bo drobiowy gulasz à la bef Strogonow (bez kładzionych kluseczek!), a z... bułką, w pobliskiej restauracji El Corazon jako jedyny posiłek na osiem godzin obrad, jest dowodem traktowania przez nasze państwo ludzi pióra. Podobnie traktują nas wielkie firmy, do których Zarząd występował – jak to powiedział ustępujący prezes – „z żebraczymi prośbami”. Większość wcale nie odpowiada, a kilka ludzi nadzieją, że... Kończąc wystąpienie Wawrzkiewicz pytał: „Co robić, aby czytelnik otrzymywał rzetelną książkę do ręki, a nie czytało (najczęściej z importu), którymi zalewany jest nasz kraj?”. Wydawnictwa bowiem drukują miernotę obcych autorów, a nie interesują się tym, co proponuje polski pisarz. W dyskusji, jaka miała miejsce po wygłoszeniu sprawozdań, poeta, prozaik i dziennikarz Ryszard Jan Ulicki powiedział wręcz, że „termin polityka kulturalna tworzy w polskich politykach obrzydzenie”. I jeszcze dobitniej stwierdził, iż „polska książka ma się znaleźć na wysokości oczu klienta, bo jeśli jakieś tam leżą, są to książki autorów z obcych krajów”. Aby to sprawdzić, zachęcam do pójścia nie tylko do księgarni, ale do marketów, sklepów z prasą i wszystkich małych punktów wszelakich wydawnictw.

Sprawa korytarza i muru

Wybór prezesa ZLP zaczął się – jak to zwykle bywa – od propozycji kandydatów. Odniosłem wrażenie, że po podaniu dwóch nazwisk padł z sali „pospieszny” głos, aby listę już zamknąć. Podobnie odebrała to większość delegatów, więc było nie było, Zbigniew Milewski z Warszawy swój wniosek wycofał. Ostatecznie na listę zostali wpisani: Marek Wawrzkiewicz z Warszawy, Juliusz Erazm Bolek z Warszawy i Dariusz Tomasz Lebioda z Oddziału Bydgosko-Toruńskiego. Spośród tych kandydatów zagadką stał się nie tylko dla mnie Juliusz Erazm Bolek, o którym nic nie wiedziałem. Andrzej Zaniewski, który zaproponował kandydaturę tego warszawskiego literata, powiedział o nim, że jest autorem kilku tomów poezji i otrzymał nagrodę Światowego Dnia Poezji ustanowionego przez UNESCO na 2010 r. Ponadto – jak później wyczytałem (a to poczytuję sobie za brak rozeznania w tym, co w polskim kręgu literackim się dzieje), poeta Juliusz Erazm Bolek jest twórcą nowych gatunków literackich: wiersza dialogowego

i EFP, czyli e-mailowych felietonów poetyckich, wynalazcą nowej, opatentowanej formy książki bodybook, która umożliwia zawieszenie książki na szyi. Prowadzi niezależne pismo artystyczne i jest twórcą Festiwalu Poetyckiego Wiersz Tysiąca Nocy, a także wielu innych, innowacyjnych przedsięwzięć prezentacji poetyckich. Przedstawiając swoją wizję Związku mówił, że „chciałby się pozbyć muru”, który zauważył na korytarzu siedziby Zarządu. Muru, który – jeśli dobrze zrozumiałem – jest budowany pomiędzy naszym Związkiem a SPP, w takich cichych rozmowach na korytarzu prowadzonych. „Ja będę dążył do integracji środowiska literackiego i to będzie moje główne zadanie” – powiedział, oraz to, że „media w Polsce są przeciwko kulturze polskiej”, bo podanie słuchaczowi ważnej informacji kulturalnej, niekoniecznie literackiej, graniczy z cudem. „Zamierzam także walczyć, aby zmieniły się relacje mediów do kultury polskiej, w tym i do literatury”. Podsumowując swoją wypowiedź Bolek podał trzy główne punkty swojego programu: „Zjednoczenie środowiska literackiego. Pozyskiwanie pieniędzy dla Związku. Podnoszenie autorytetu naszego Związku w społeczeństwie”.

Młody, czterdziestoletni poeta zrodził swoim wystąpieniem dość burzliwe rozmowy pomiędzy delegatami, którzy nie wiedzieć dlaczego, nie potrafili już wsłuchiwać się w programy pozostałych kandydatów, tylko szeleszcząc językami skutecznie zakłócili ich wystąpienia.

A może Związek menadżerski?

Kandydat Dariusz T. Lebioda mówił: „Wydaje mi się, że wszelkie organizacje takiego typu jak ZLP mogą się rozwijać tylko wtedy, kiedy mamy do czynienia z wymianą – powiem to symbolicznie – krwi. Uważam, że Związkowi potrzebna jest nowa, młoda krew. Pan Marek Wawrzkiewicz miał przez poprzednie kadencje szansę, aby coś w tym Związku zrobić. (...) Ja także jestem niezadowolony z działalności naszego Związku. Nie znaczy to jednak, że nie doceniam działalności Marka Wawrzkiewicza. (...) Ale może, Marku, warto by było oddać władzę młodemu lub osobom młodszym?” – pytał retorycznie w swojej mowie kandydat Oddziału Bydgosko-Toruńskiego. „Ja jestem zwolennikiem Związku menadżerskiego. Próbuję tak działać w swoim Okręgu i w ciągu ostatnich trzech lat wydałmiś ponad 50 książek. Staram się zdobywać pieniądze na te pozycje, staram się pomagać ludziom w sprawach socjalnych, występujemy o stypendia, walczymy o pieniądze. Jeśli Państwo zdecydowałiby się wybrać mnie na to stanowisko, pragnę zapewnić, że te działania, które prowadzę w moim oddziale, będą wyglądały tak samo w strukturze ogólnopolskiej. (...) Szczególną opieką chciałbym otoczyć ludzi starszych, którzy postawili na Związek Literatów i mają tylko jedno życie. Trzeba załatwiać sprawy socjalne, trzeba walczyć o emerytury pisarskie, trzeba stworzyć stypendia pisarskie, to wszystko są sprawy, które musi załatwić nowy zarząd ZLP”.

Zasypywanie szczelin

Kandydat Marek Wawrzkiwicz: „Nie mam zamiaru prowadzić kampanii negatywnej, chcę tylko powiedzieć Juliuszowi Erazmowi Bolkowi, który jest drugą kadencją w Oddziale, że skoro on wie, jak zdobywać pieniądze, to miał czas w ciągu tych ostatnich lat wskazać nam, jak to robić. (Głos z sali: nie pozwalano mu...!?) Mój program rysuje się we wnioskach, jakie zawarłem w sprawozdaniu i jest taki, po pierwsze – zdobywać pieniądze na działanie Związku. Po drugie – podział naszego środowiska na lewicę i prawicę, na opozycję i tych prorządowych jest podziałem anachronicznym, mniej ideowym jak kiedyś – 20 lat temu to było, a bardziej towarzysko – historycznym. Należy dążyć do zasypania tych szczelin, tych przepaści, które nas dzielą. (...) Trzeba to robić metodą małych kroków. (...) Po trzecie – zaproponowałem powołanie wspólnego ciała złożonego z przedstawicieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Pen-Clubu oraz naszego Związku po to, aby uregulować sprawy, najogólniej mówiąc polskiej książki. (...) Wprowadzenie tzw. Systemu Skandynawskiego jest czymś koniecznym i o to wspólnie z kolegami z innych stowarzyszeń musimy walczyć. Proszę państwa, za czasów – przepraszam, że wrócę do okresu ministra Sokorskiego. Kiedy Ministerstwo Kultury i Sztuki było potęgą, zatrudniało 49 osób. Teraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zatrudnia przeszło 370 osób, ale pole działania tego ministerstwa znacznie się zmniejszyło. Należy walczyć o to, aby uprościć i zlikwidować tę potworną maszynę urzędniczą, która pochłania 60% pieniędzy przeznaczanych przez państwo na kulturę”. Takim obrazem zakończył trzeci z kandydatów swoje wystąpienie. I teraz delegatom przyszło wybierać między nimi. Na całe szczęście nikt mi nie nakazywał tzw. posłuszeństwa i mogłem wykreślić z kartki, kogo chciałem. Myślę, że reszta spośród 138 delegatów zrobiła tak samo. A kiedy wróciłem z ciut napelnionymi gulaszem trzewiami, ogłoszono, że nowym Prezesem Związku Literatów Polskich został stary prezes, czyli Marek Wawrzkiwicz, na którego oddano 71 głosów.

Kawa od szatniarki

Zanim w dalszej części Zjazdu dokonaliśmy wyboru nowego Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego, to głównie zapragnąłem kawy. Podobnie moi gorzowscy koledzy, którzy bez porównania do in-

nych delegatów trzymali fason. Nie kręcili się, a wsłuchiwali w całość obrad i nie rozprawiali, o powiedzmy... duperelach. Jako że mieli obok mnie, kelnera z fachu, tak i o wymarzonej kawę zadbałem, którą opodał toalety sprzedawała pani szatniarka. Z podaniem gorzowskim delegatom czarnego naparu w plastikowych kubkach nie miałem kłopotu, a jedynie ogrom satysfakcji. Zjazd dobiegał końca. Jeszcze tylko ogłoszenie wyników wyborów poszczególnych komisji i Zarządu Głównego, i można było chwilę poświęcić na rozmowy „w tłoku” ze znajomymi z Polski. Tymczasem niebo nad Krakowskim Przedmieściem i całą stolicą zasnęło się chmurami i zaczął siąpić deszcz. Wróciliśmy na dworzec autobusowy Warszawa Zachodnia. Rano miałem być obecny w Krzeszycach na I Komunii Świętej wnuka.

Za kolejne cztery lata następne wybory. Głęboko zastanawiam się, co nowy-stary prezes i nowy Zarząd Główny dla życia literackiego wywalczą, czym je ubogacą? Czy na pierwsze piętro Zarządu wnuknie menadżerskie zarządzanie? Czy z korytarza zniknie mur? Czy kolejni delegaci na Zjazd dostaną zwrot kosztów za przejazd w obydwie strony czy tylko w jedną? Kogo wówczas pożegnają minutą ciszy, a kto stanie do wyborów na nowego prezesa?

Nie wątpię, że oblicze ZLP będzie miało w sobie więcej młodości, doświadczenia w pozyskiwaniu pieniędzy i wartościowych wydań, leżących na wysokości oczu

klientów. Czy jednak będą wśród czytelników chętni sięgać po tradycyjne książki? Czy raczej po książki na nośnikach, takich do elektronicznego odtwarzania?

I może już nie trzeba będzie kupować kawy u szatniarki...

Oby.

Roman Habdas

P.S.

Nie ukrywam, że spodziewałem się w trakcie Zjazdu merytorycznych dyskusji na wysokim, bo przecież literackim poziomie. Na takim, który „otwarłby mi ze zdumienia głębę”. Nic z tego. Kilka wystąpień trąciło nawet przysłowiową „myszką”. Dla niektórych, starszych wiekiem literatów czas nadal stoi w miejscu, ciągle są jakby w latach siedemdziesiątych...

Skład nowego Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich oraz Zarządów Oddziałów w Gorzowie i Zielonej Górze podajemy na stronie 21.



Przejściowe

wszystko jest tu przejściowe jak korytarz
lub schody czy ulica – to pewne
bo przecież w nietrwałości od zawsze
nas rzeźbiono w ręce wkładając nicosć
wzmacniamy więc swym jestestwem
chaos bezsens życia tak zwyczajnie codziennie
jakby naprawdę chodziło o niezmiennie
a jest to tylko na drugą stronę przejście
tą ulicą

2 XI 2009 - 6 II 2011

* * *

nic nie ma
większego znaczenia
wszystko staje się coraz mniejsze

odchodzące
w perspektywie
o ile czas pozwoli
o ile o czas tu chodzi

i płynie

wiele się nauczyłem
za późno dawne lekcje są już
nie do odrobienia
więc po co byłem skoro
nie miałem nic prawie

do-
powiedzenia

* * *

ogród żyje cały
rok wciąż się coś dzieje
niepowtarzalnego
niezauważalnego
odejścia i nowe pnącza wiatr
w gałęziach dym z ogniska krzyczą
sroki przylatują dzikie gołębie
opadają gałązki brzozy i wyrasta
nie wiadomo po co jakiś dach
nad głową ludzi nietrwałych
skłonnych do odejścia
ukierunkowanych w stronę
furtki do drugiego ogrodu

30 VIII 2008

Rosnąć i umierając

rośnie forsycja pod drzwiami stoi
kiedyś zaledwie krzew w tym roku stroi
się na drzewko a brzozy od brata potężne
dzisiaj mają pnie że trudno uwierzyć w ich
młodość lirodendron zarzuca jesienią stawek
liśćmi tyle ich ma obok jarząb szwedzki

modrzew koło saloniku przeskoczył dom
wysoki aż trudno go przyciąć więc rósł
i rośnie i sypie igłami do rynien
nawet obojętny kamień wrasta w ziemię i
obraca mchem przyzwyczajając się
do miejsca tylko ja
jestem tutaj nietrwały
słabo ukorzeniony i rosnąc umieram

8 V – 12 V 2009

* * *

jutro będzie za późno w ogrodzie
porzeczki dojrzeją gruszki niechciane
wyjadą na kompost orzechy opadną
pod nogi jak dawna miłość zacznie się
gnicie w kompoście przerobi się to
co żyło z tym co martwe powstanie
humus i użyźni znów jakiś pomysł
ogrodowy lecz dla nas jest już za późno
na kolejną formę przetrwania

Z oddali

ręce poranione drzazgami wielu przeniesionych
desek palce nieco opuchnięte od prac w ogrodzie
biorą wieczorem tzw. wieczny ołówek
żeby pisać co i tak już od dawna zapisane
i zapoznane

wolałbym je w tej chwili miękko położyć
na twoich piersiach i lekko zacisnąć
zamknąć w dłoniach półkule mojego świata
który coraz wyraźniej mi się wymyka ucieka
spod zapisów wiecznego ołówka w kierunku
niepowtarzalnej wieczności
gdzie ani ręce ani piersi nie mają
żadnego znaczenia
gdzie żaden gest nic nie znaczy

* * *

patrzę na ręce rozprostowuję palce sprawdzam
patrzę na ręce rozprostowuję palce sprawdzam
ścięgna działają jeszcze nerwy przekazały
skuteczne polecenie z mózgu zatem
mózg nerwy ściągać wciąż w porządku

porównuję siebie z ojcem (lat 90) zwiększającym
głośność telewizora wędrującym z laską po ogrodzie
choć jeszcze niedawno sam wracał do domu pociągami

teraz powoli zakłada okulary żeby podłączyć
przewody elektryczne palce nie trafiają choć polecenie
z mózgu wydane ręka niepewna słuch przytępiony
skojarzenia spóźnione a przecież jestem
nerw z nerwu ścięgno ze ścięgna czas z tamtego
czasu wędrującego niczym pielgrzym
do sanktuarium nicości

2007/2009 – 2010

Z IRENEUSZEM K. SZMIDTEM – PREZESEM ZARZĄDU ODDZIAŁU ZLP W GORZOWIE
oraz CZŁONKIEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO rozmawiał EMIL KOŹBIAŁ – UCZEŃ II LO w GORZOWIE

1. Jak zaczęła się Pana przygoda z poezją?

– Owa przygoda nie miała jasno wytyczonego początku, gdyż była sumą moich doświadczeń, mojego postrzegania świata nabytych w wyniku pokonywania kolejnych szczebli drabiny edukacyjnej i towarzyszących tej podróży obowiązkowym oraz samodzielnie odkrywanym lekturom. Jednakowoż duży wpływ na jej ukształtowanie miał pierwszy kontakt z miłym, młodzieńczym zauroczeniem.

Urodziłem się w Zgierz, gdzie w 1953 roku ukończyłem Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica, dość wysoko notowane wówczas na edukacyjnej mapie Łodzi i najbliższych okolic. Będąc w klasie maturalnej odważyłem się zebrać swoje pierwsze utwory i pojechałem tramwajem na ul. Mickiewicza 8, gdzie mieścił się Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich. Przypadkowo w sekretariacie związku siedział przy herbacie młody, przystojny poeta Bohdan Drozdowski, wówczas chyba prezes Koła Młodych przy ZLP. Zachęcony podałem mu drżącą ręką trzy przywiezione ze sobą teksty. Rzucił na nie okiem i powiedział: „Za godzinę mamy zebranie. Zapraszam”. Nie powiedział: „Dno, grafomania, do kitu!” tylko: „Zapraszam”. Wskoczyłem na ulicę, pobiegłem ochłonić w stronę Pietryny (tak łodzianie zwykli nazywać słynną ul. Piotrkowską).

Wróciłem 20 minut przed czasem. Już się schodziły kolejno ówczesne i późniejsze młodoliterackie sławy: Jerzy Waleńczyk, Wiesław Jażdżyński, Jan Czarny, Andrzej Dołęgowski i inni, których nazwiska uleciały już z pamięci. Ostatni pojawił się ich opiekun z ramienia starszych kolegów – Jan Koprowski. Z nim później miałem wiele spotkań w czasie mego 40-letniego szczecińskiego okresu pracy twórczej, związkowej i życia. Zebranie miało gorącą atmosferę. Przed miesiącem zmarł Józef Stalin, kończyła się epoka realizmu socjalistycznego, ale socrealizm w kulturze, mimo nadgryzania go przez „młodych gniewnych” twórców, dalej obowiązywał... Zamiast kłócić się o pryncypia artystyczno-filozoficzne, na tym zebraniu dominowały spory ideowo-twórcze. Niestety, nie pamiętam stawianych tam postulatów, ale niedaleko odbiegały od dyżurnego: „Czy dziewczyna na traktorze może być podmiotem lirycznym? – Tak, o ile jest przodownicą i wyrabia 300 proc. normy”. Pod koniec zebrania zostałem poproszony o przeczytanie swoich wierszy. Nie miałem żadnego, który pasowałby do czytanych przez moich nieco starszych kolegów. Ale się odważyłem. Opanowałem głos, który z tremy stanął mi w gardle i przeczytałem trzy wiersze – proste, liryczne wyznania wiary w młodość i miłość. Nie przyjęto mnie od razu do Koła, ale dostałem nadzieję, że jak poprawię warsztat...

Poprawiłem w następnym roku, który spędziłem przy desce kreślarskiej w dziale głównego mechanika fabryki na ul.



Wólczańskiej. Rok później pojechałem do Szczecina, gdzie rozpocząłem studia na wydziale budownictwa lądowego Politechniki Szczecińskiej. W Szczecinie, przy ul. Wojska Polskiego, w jednej z secesyjnych kamienic, była Świetlica Artystyczna, sławna nazwą, którą nadał jej Konstanty Ildefons Gałczyński – „Klub 13 Muz”. Bywały w niej i inne literackie sławy, mieszkające okresowo w Szczecinie, jak Jerzy Andrzejewski, Witold Wirpsza czy poetka najsłynniejszej po „Skamandrze” przedwojennej grupy literackiej „Kwadryga” – Nina Ryzewska. Było tam też Koło Młodych ZLP, którego wkrótce stałem się członkiem. Już na drugim roku studiów zostałem redaktorem naczelnym gazetki studenckiej – naj-

pierw ściennej „Błyskawicy”, masowo przez studentów czytanej na przerwach i po wykładach, później w wersji drukowanej „Razem młodzi przyjaciele”. Właśnie w tym piśmie po raz pierwszy ukazały się drukiem moje wiersze. W 1955 roku udało mi się wraz z gronem przyjaciół powołać do życia Akademicki Teatr Satyryczny „Skrzat”, czwarty taki w ówczesnej Polsce Ludowej, po słynnym gdańskim „Bim-bomie”, warszawskim STS-ie i łódzkim „Pstrągu”. Ruch studenckich teatrów w następnym dwudziestolecu był prawdziwą kuźnią talentów literackich, reżyserskich i aktorskich, doprowadził do odświeżenia repertuaru teatrów profesjonalnych. Moje zainteresowania skupiły się wtedy na budowaniu repertuaru mojego teatru, pisaniu dla niego songów, piosenek, wierszy, skeczy i adaptacji dramatycznej młodej, ważnej dla nas prozy i poezji, m.in. „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka, opowiadań Marka Hłaski, a nawet Ernesta Hemingwaya. Tym samym coraz mniej czasu poświęcałem przedmiotom inżynierskim. Po niezaliczonej matematyce na piątym semestrze wzięłem mocniejszy kurs na humanistykę. Jako zadeklarowany pacyfista, schroniłem się przed wojskiem na Studium Nauczycielskim, wtedy filii poznańskiego UAM.

2. Kiedy zaczął Pan poważnie myśleć, aby pokazać swoją poezję innym oraz zdecydować się na jej publikację?

– Po 1956 roku zelżała cenzura, można było głośniej myśleć i wyrażać się w słowach nie zawsze posłusznych władzy. Nie trwało to długo, ale wystarczyło, by moje pokolenie znalazło na całe swoje życie swój osobny język. Mnie zaliczono do pokolenia „Współczesności”. Dojrzałem warsztatowo uczestnicząc czynnie w studenckim ruchu artystycznym i w życiu literackim Szczecina. Spędzałem sporo czasu w naszym „Klubie 13 Muz” spotykając się w gronie członków i sympatyków ZLP (do których należeli także malarze i aktorzy) na gorących dyskusjach nad czytаныmi swoimi tekstami aż do zamknięcia Klubu, a nawet dłużej, przenosząc je do domów prywatnych. Najlepszą, najczarniejszą herbatę w życiu piłem w wili poety Józefa Bursewicza. Fascynowaliśmy się nowym malarstwem, przyjaźnili-

śmy się z malarzami. Z czasem z naszej inicjatywy powstała w Szczecinie cykliczna impreza „Prezentacje Malarzy i Poetów” o charakterze nawet międzynarodowym. Dzięki temu żyliśmy pełni marzeń i uniesień, trochę jak nasi dziadowie w krakowskiej bohemie. Założyłem w kawiarni „Telimena”, w budynku wśród (jeszcze) ruin, kabaret literacki „Okaryna”. W 1958 roku wydano 13 moich wierszy po raz pierwszy w książce, w grubym almanachu pt. „Szczecin Literacki”. Oprócz tych na scenę, zacząłem coraz więcej pisać tekstów kwalifikowanych do druku w gazetach i czasopiśmie, aż uzbierało się ich na debiut książkowy „Kreska na twarzy”, który po długim, prawie dwuletnim procesie przygotowania do druku, ukazał się w Wydawnictwie Poznańskim dopiero w 1961 roku. Kolejne książki: „Człowiek, ziemia i morze” (1964) oraz „List z zimy” (1966) ukazały się w wydawnictwie PAX w Warszawie. W 1965 roku zostałem przyjęty do Związku Literatów Polskich. Moją legitymację członkowską podpisał prezes Zarządu Głównego, wybitny polski poeta, prozaik i eseista – Jarosław Iwaszkiewicz.

I w tym miejscu moja aktywność młodego poety zaczęła spadać, a wzrosła w dziedzinie rozpoczętej w czasach studenckich – zaangażowaniem w niezawodowy ruch teatralny. Nowa przygoda trwała 30 następnych lat. W 1963 roku wstąpiłem na studia w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, a cztery lata później w warszawskiej PWST odebrałem dyplom reżysera scen nieprofesjonalnych oraz zaświadczenie o „S” (specjalnej) kategorii instruktorskiej przyznającej mi szczytową stawkę 27 złotych i 50 groszy za godzinę pracy z zespołem teatralnym działającym przy państwowych lub spółdzielczych placówkach i instytucjach kultury. Z tego tytułu znacznie podniosła się moja stopa życiowa, gdyż z poezji żyć do dziś nie można, nawet nie wypada, a z teatru jak najbardziej. Umiejętność pisania przydała się i w tej dziedzinie. Realizując własne scenariusze udało mi się zdobyć 54 nagrody na ogólnopolskich i regionalnych festiwalach teatralnych. Jednakże nie odszedłem od poezji. Pisałem mniej, ale bardziej uważnie. Publikowałem rzadziej, drukowano mnie jeszcze mniej, ponieważ byłem często upominany i wykreślany przez cenzurę.

Renesans mojego pisania nastąpił, gdy przyjechałem do Gorzowa, angażując się w to miasto z powodów osobistych (małżeństwo z Krystyną Kamińską) i zawodowych – współpraca recenzencka z „Gazetą Nową”, później z tygodnikiem „Ziemia Gorzowska”. W 1994 wraz z żoną założyliśmy „rodzinną firmę” – Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał” i miesięcznik „Arsenał Gorzowski”. Przez 50 miesięcy na wewnętrznej stronie okładki każdego numeru ukazywał się mój nowy wiersz. Z tych wierszy oraz z pisanych w czasie „milczenia” powstał tom „Spoza milczenia”, który ukazał się drukiem na przełomie wieków. Pięć lat później tom „Ludzkie pojęcie” został nagrodzony Wawrzynem Literackim. W 2009 roku, przed jubileuszem 55-lecia pracy twórczej, wydałem tom moich wierszy miłosnych pod tytułem „Grzeszne rzemiosło” obejmujący utwory wybrane z wcześniej wydanych książek.

3. Czuliście Pan kiedykolwiek frustrację związaną z przytrącającym się brakiem weny twórczej?

Jako człowiek uprawiający częściej poletko poezji niż inne obszary pisarskiej twórczości, miewałem nieraz wątpliwo-

ści i stresy. Wtedy zdarzała się piosenka, mała proza i dramat. W sezonie teatralnym 1999/2000 w Teatrze Osterwy wystawiłem we własnej reżyserii „Medeę, czyli kameralną tragedię rodzinną niewiernie przepisaną z Eurypidesa”. Pisanie wierszy traktuję jako pewien rodzaj luksusu. Kiedy mam wolną chwilę, aby pomyśleć, spojrzeć w notatki, szkice, w myśl niegdyś zapisaną, próbuję dostrzec, co nadbudowało nad nią życie, szukam impulsu, który pozwoli mi ją rozwinąć. Utworów skończonych przybywa niewiele, więc nie mam specjalnie okazji, by popadać we frustrację. Czas pozostały wypełnia mi praca dla gorzowskiego środowiska literackiego, redagowanie „Pegaza Lubuskiego”, zdobywanie środków na kontynuację serii wydawniczej pod nazwą Biblioteka Pegaza Lubuskiego i sprawy Związku Literatów Polskich. Mam do wykonania wiele zadań przy organizacji pracy czasopisma, do którego dochodzi również moja własna działalność publikacyjna na łamach „Pegaza” oraz opracowywanie warsztatowe książek gorzowskich pisarzy i debiutantów. Od 10 lat w Grodzkim Domu Kultury prowadzę warsztaty Klubu Poetów Okrągłego Stołu, gdzie jak kiedyś w Kole Młodych w Szczecinie, czyta się swoje wiersze i rozmawia o nich. To bardzo pożyteczna, przyjemna i poważna zabawa.

4. Kiedy nadszedł dla Pana pierwszy sukces i jakie były dalsze notowania?

Pierwszym literackim sukcesem było wydrukowanie w 1958 roku moich trzynastu wierszy w almanachu „Szczecin Literacki”. Moje imię, nazwisko i portret zaistniały wśród bardziej ode mnie doświadczonych i dojrzalszych twórców. Także samodzielny debiut książkowy – tomik wierszy „Kreska na twarzy” z 1961 roku uważam za osobisty sukces, choć książeczka ta nie podbiła krytyków. Potem druk kolejnych książek przyjmowałem z o wiele mniejszą emocją. Mimo tworzenia przez krytykę różnego rodzaju podziałów pokoleniowych, epok i prądów, nie chciało mi się w żaden z nich wpasowywać, bo kiedyś zraziłem się do stada. Warsztat pisarza jest jednoosobowy. Mój – to zaufanie do polskiego słowa, wierność sobie i idei pisania prawdy. Istnieją poeci, którzy codziennie budzą się z nowymi wierszami, a jak się nie budzą, to po prostu je wymyślają. Ja czekam na imperatyw, który w każdej chwili może się pojawić, nieważne – w dzień czy nocą, dziś czy jutro, w tym lub następnym roku. Zrodzi się z oglądu i interpretacji rzeczywistości. Przyjdzie i powie: wyrzuć to z siebie! I najpewniej wyrzucę... Powracając jednak do mojej twórczości mogę określić to tak: będę pisał tak długo, dopóki będę miał coś do powiedzenia.

Większe niż literackie sukcesy odnosiłem w działaniach kulturotwórczych, animacyjnych i na terenie upowszechniania literatury, także kultury w ogóle. Były dyplomy ministrów oświaty, kultury, odznaka Zasłużony Działacz Kultury, Nagroda Kulturalna wojewody szczecińskiego, wszystkie kolory Krzyża Zasługi i szczeble do Krzyża Oficerskiego Polonia Restituta włącznie. W roku jubileuszowym dostałem medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, Nagrodę Kulturalną Prezydenta Gorzowa („Motyl”) i Nagrodę Kulturalną Marszałka Województwa Lubuskiego.

5. Bywały takie momenty, gdy odczuwał Pan potrzebę zamknięcia rozdziału życia związanego z Pana twórczością?

– Tego uczucia nigdy nie odczułem i raczej nie odczuję. Jednakże pewien etap w moim życiu się zakończył. Myślę tu o mojej pracy teatralnej. Poczuliśmy się zmęczeni trudnymi wa-

runkami, jakie narzucał teatrom, także amatorskim, stan wojenny i później życie w kryzysie i przemianach ustrojowych. Wiele chwil mojego życia poświęciłem na edukację teatralną młodzieży. Praca ta ostatecznie mnie wyczerpała. Człowiek poświęca czas i życie zawodowe staraniom, by wejść w relacje z młodymi osobami, a starania te okazują się, z przyczyn zupełnie od niego niezależnych, w rezultacie niezdane dla niego i bezowocne dla nich. Mimo wszystko odczuwam głęboką satysfakcję widząc dziś moich dawnych uczniów-aktorów, już z własnymi dziećmi, a nawet wnukami. Wiele razy, ku mojemu wzruszeniu, mówili mi, jak dużo dała im praca ze mną jako ich przewodnikiem i wychowawcą przez sztukę. Zresztą, jest to grupa, która mimo upływu lat potrafi spotykać się we wspólnym, choć coraz szczuplejszym gronie. Te sympatyczne spotkania, organizowane w pałacu w Kulicach koło Nowogardu, trwają często parę dni i wywołują niezatarte wspomnienia. Przeglądaliśmy wtedy stare fotografie, pamiątki, wracamy myślami do tamtych czasów, rozmawiamy na temat naszych przegod teatralnych.

7. Jako prezes gorzowskiego Oddziału ZLP oraz redaktor „Pegaza Lubuskiego” obserwuje Pan osoby, które zaczynają odnajdywać swój talent literacki. Czy widzi Pan w tych próbach potencjał? W szczególności u młodych ludzi?

– Tak, widzę duży potencjał u młodzieży próbującej swoich sił w tej dziedzinie sztuki. Oczywiście myślę, że jest to grupa w jakiś konkretny sposób wybrana, która ma duże ambicje i dla której nauka oraz własny rozwój stanowi bardzo ważny aspekt życia. Wielu z członków tej grupy to młodzi ludzie o wysokich umiejętnościach, wiedzący, jak określić swoją twórczość oraz na tyle dojrzała, aby móc pokazać ją opinii publicznej. Mają oni odwagę pisać na swój własny, niepowtarzalny sposób, utwory wyrażające ich wewnętrzną poezję. To zadanie nie jest łatwe, bo polega na przejściu przez progi zwykłej codzienności w szkole, domu, w najbliższym otoczeniu i dodatkowo przez mur swojej prywatności. Ci, którym się to uda, wejdą w przyszłości do grona elity kulturalnej naszego miasta albo nawet kraju. Nawet jeśli w swojej dorosłości nie będą związani ze środowiskiem literackim, na pewno będą ludźmi posiadającymi wyższą inteligencję, której najwyższym stopniem jest inteligencja twórcza. Twoja szkoła, II LO im Marii Curie-Skłodowskiej, w ostatnim pięcioleciu wydała kilka nieprzeciętnych talentów, w tym trzy wysoko odnotowane debiuty poetyckie: Małgorzaty Prusińskiej (2005), Agnieszki Moroz (2006) i Natalii Pałczyńskiej (2009). W tym roku z dużym uznaniem spotkała się książka pt. „Przebudzenie” uczennicy I LO Alicji Łukasik, którą Kapituła Lubuskiego Wawrzynu Literackiego uznała za najciekawszy debiut roku 2010.

7. Jakie widzi pan perspektywy dla rozwoju kultury, a w szczególności twórczości literackiej z Gorzowa i okolic?

– W naszym społeczeństwie cały czas tkwi potencjał, który wystarczy jedynie obrobić. Mam nadzieję, że taką szlifarnią talentów stanie się głośnie dziś, budujące się z trudem, Centrum Edukacji Artystycznej. Znane są nam wszystkim problemy finansowe, które w równym sportowi, a nawet większym stopniu dotyczą kulturę gorzowską. Ludzie mający w swoich rękach władzę dzielą środki nie *publico bono*, a na miarę często politycznych potrzeb i populistycznych efektów.

8. Nie lubi Pan żuźla?

– Już nie. Na torach żużlowych ścigają się już tylko loga sponsorów, interesy korporacji sportu zawodowego i mediów. Mało który zawodnik reprezentuje dziś swe rodzinne lub wybrane do życia miasto i polski sport. Nie chcę, żeby za moje pieniądze, odrażone od niemal żebraczej nauczycielskiej emerytury, upadał na torze zawodnik, który nie zdążył przespać się przed meczem w Gorzowie po nocnej podróży z Danii czy Anglii. Czy to nie paranoja, że kilku kupionych za miliony panów, po całotygodniowym ściganiu się za granicą, snuje się w niedzielę na gorzowskiej pięknej arenie, zbudowanej za pieniądze z kasy miasta, w wyniku czego drużyna przegrywa decydujące spotkanie o wejście do puli finałowej tzw. play-offu? Żuźel to sport komercyjny. Sam się powinien utrzymać za niemałe pieniądze zebrane z biletów kibiców, zarobione za reklamy, za prawo transmisji i z korzystnych dla klubu transferów. A jeśli miasto daje dotacje, to powinny one być przeznaczone w całości na szkolenie młodzieży. Może kiedyś wyrośnie z niej prawdziwie gorzowska drużyna jak „Pod Filarami” wyrósł Adam Bałdych i jego formacja jazzowa. Przecież aby mieć dostęp do swobodnego rozwoju fizycznego i duchowego musimy inwestować w siebie, a miasto w swoich obywateli, najwięcej w młodzież: w swoją i naszą przyszłość. Często w debatach publicznych używane jest określenie „spuścizna narodowa”. Za kilka lat te wszystkie działania, które obecnie wykonujemy i wykonamy dla kultury miasta, nasze książki, poezja, nauka, nasze zdobycze cywilizacyjne, które my dodaliśmy, będą też stanowić narodową spuściznę. Oczywiście, że nie wszystko przetrwa próbę czasu, ale to co ocaleje, będzie dla naszych następców cennym źródłem doświadczeń i mądrości.

9. Jakie ma Pan plany na najbliższą przyszłość? Które z nich są dla Pana najważniejsze?

– Planuję w tym lub w przyszłym roku, jeśli czas na to pozwoli, wydać nową książkę. Byłby to mój debiut prozatorski złożony z drukowanych w różnym czasie w antologiach i prasie opowiadań i utworów scenicznych. Czeka mnie nad tą książką dużo pracy, ale chcę ją mieć. Dla pisarza książki są konieczne do egzystencji, niemal jak woda, w której zwierciadło odbija się jego twórczość. Może jej się wtedy dokładnie przyjrzeć, ocenić, nabrać refleksji, wzbogacić swój umysł o doświadczenie, które uzyska jedynie z obcowania ze swoim dziełem w formie zwartej publikacji. Dzięki temu może spojrzeć na nią obiektywnie, z perspektywy odbiorcy swojego dzieła. Dlatego prawie całe 20 lat życia w Gorzowie poświęciłem budowaniu w tym mieście środowiska literackiego, w oparciu o książki, swoje i moich koleżanek i kolegów ze Związku, ale także bardzo młodych, uzdolnionych twórców. Zabiegałem o pieniądze na wydanie ich debiutów, rekomendując do stypendiów Prezydenta i Marszałka woj. lubuskiego, włączając ich projekty do miejskiego konkursu ofert na realizację zadań publicznych, z których Oddział gorzowski ZLP uzyskiwał środki na wydawanie książek. Łącznie pod moją redakcją lub opieką literacką wydanych zostało w seriach Biblioteki Arsenau Gorzowskiego i Pegaza Lubuskiego 47 książek. Wielu ich autorom dały one status członka Związku Literatów Polskich

BO KSIĄŻKA CIĄGLE JEST NAJWAŻNIEJSZA.

Mrok*Danucie Dembińskiej*

widzę mrok
tajemnica i samotność przyciąga
skradam się na rzęsach
zaciekawiona jego głębią
przytrzymując się jeszcze światła
badam twardość aksamitu
oswajam się z wiejącą muzyką

wchodzę w mrok
pewnym krokiem łez
z gotowymi odpowiedziami
i kieszeniami pełnymi kamieni
na tych co podniosą na ciebie
wzrok

Izolda

szramy po łzach
dodają jej uroku
pokazują rozmiar serca
krzyczą o więcej zrozumienia
a przyciągają tylko brudne słowa
i zwiotczałe uśmiechy

szramy po łzach
wskazują drogę
spływającego bólu
od głowy
konstruktora szlochu
przez nabrzmiałe sutki
do łędźwi
niezdolnych urodzić
Tristanowi dziecka

Ale przecie
dodają uroku...

* * *

trzeba mieć odwagę
by w taki poranek wyjść z domu
z podniesioną głową
i oczami gotowymi na
malarską zapowiedź dnia

trzeba mieć kanały nerwowe ze stali
by płynące sygnały nie uszkodziły
mózgu

by bodziec po bodźcu
przepych barw utrwalił
byś mógł je przywołać
w zimne i ciemne dni

Lustra

zbiję wszystkie lustra
by nie widzieć rzek wzbierających
coraz mocniej coraz prędzej
gdy zamiast krzyczeć
pozwalam się przytulić do Twojej
cierpliwości

burza złości
utkwiała w gardle
a ja broniał się przed jej wybuchem
odkrywam najbardziej bezbronny
punkt

oczy

nieszczelne pohańbione złością
przeciekają coraz bardziej
brak tamy i Twoje niby-zrozumienie
pogarszają sprawę

Pragnienia

dzisiaj są leniwe
mgła przesłoniła im oczy
wiatr ręce poplątał
bezaradne poddały się naturze
jesiennej depresji

usiadły z półprzymkniętymi
powiekami
wpadły w stan nicniechcenia
nicnierobienia
moje pragnienia

pierwsze spotkanie

przyszedł stópkami wielkości
muszelki

gwałtownie wciśnięty w
niegotowe ramiona
wpasował się w ciało pulsujące
jego oddechem
westchnął a ja
rozplakałam się

może właśnie
z tego samego
powodu
zawarliśmy pakt
od pierwszego
wejrzenia
on i ja

* * *

umiesz się nią ładnie bawić
nakręcić wskazówki odpowiednio
by w Twoim rytmie nie zgubiła
żadnego dotyku

zakręcić jak bączka
złapać w przedostatniej chwili
i wydusić spełnienie
z beznadziejnie zadowolonej

* * *

zakazany dotyk
smakuje rozkoszną goryczą
otwarty każdy milimetr
naprężonego ciała
powietrze coraz gęstsze od potu
pomyłone kroki roztańczone włosy
przypomniały sobie
smak wolności

Przeciagi

przeciagi działają drażniąco
poruszają włoski na łycie na karku
przebiegają milimetry wznosząc alarm
specyficzna krioterapia działa
pobudzająco
od wierzchołka myśli po kostki
kroków
jestem gotowa!

„78”

jestem zwykłą kobietą
umierającą z miłości
która wmawiała wszystkim
że nie chce dzieci
ciało usłuchało
teraz krwawi jej kłamstwem

jestem zwykłą kobietą z bolącą macicą
i pochwą drażnioną upławami
z resztkami kobiecej godności

**Aneta Długolecka**

– ur. 08. 09. 1978 r. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Obecnie zajmuje się wychowaniem synka. Od dwóch lat wciągnęła ją także fotografia. Lubi poznawać ludzi przez obiektyw aparatu, także łączyć po górach i zająć się lodami. Czyta wszystko, co wpadnie do ręki. Ostatnio zachwyca się poezją Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej.

Renata Paliga**dukając definicję człowieka**

człowiek składa się z białka wody sody
z hemoglobiny, z cholesterolu który jest dobry i zły
człowiek jest homo sapiens
to znaczy myślący
choć wrazenie że to nie do końca prawda
reasumując
w worku ze skóry: kości, mięso, różne soki, sny,
marzenia,
przeszłość, przyszłość, grzechy i zasługi
wszechświata kształtowanie

podczas jedzenia kolacji
usłyszałam o trzęsieniu ziemi w Japonii
i zobaczyłam to na własne oczy
między kęsami
pływające ciała i śmierć na żywo,
człowiek to
chwila.

marzec 2011

jestem kosmosem

jestem kosmosem
faluję ruchem falistym
wokół skróconej elipsy
Bóg we mnie istnieje
do chwili zagaszenia
dezoksyrybonukleinowego słońca

pamięć

teraźniejszość
zaczyna się każdego dnia i kończy z następnym
jutrem
takie tam
perpetum mobile jestestwa
wyłaniające się zza kurtyny niepamięci i
nieistnienia
znieca i delikatnie nieistotne na pozór
zapachy, drobiazgi i odgłosy
zapisane w chemicznym kodzie poszczególnego
neuronu
pamięć
wszystko wskazuje na to, że matka muz
jest tylko ordynarnym i oczywistym białkiem w
mózgu
który wystarczy wyselekcjonować, wytrześcić,
namierzyć, opisać
i nadać odkryciu nazwę
by nikt nie zapomniał

Roman Habdas

z myślami o JP II

Binduga

Pamiętam to miejsce bez krzyża. Bez tablic z opisem szlaku.
Przy bindudze nędza kładki. Cztery kołki, trzy deski. Tutaj,
gdzie Ewangelii czytanie o znaku ryby: słoiki, puszki. Rosa
obsiadła kalosze, kretowiska łąkę. Za namiotem tablica:
Ujęcie wody.

Dno odwróconego kajaka ołtarzem. Stopy w tenisówkach.
Chór ptaków i Hostii uniesienie ponad wszystko.
Odpłynąłeś.

Przedemną Drawa przy Wydrzym Kamieniu.
Ognisko z pieczeniem kielbasy będzie od zmroku w noc.
A jutro za most na Moczele,
gdzie piękny lipień wyszedł do srebra jak wierzbowy liść.

Daleko nad Tybr. Najbliżej mówić do Ciebie tutaj.
W połowie spływu do świętości.

* binduga – *miejsce nad rzeką, gdzie składano kłody
przygotowane do splawiania*

* do srebra – *do srebrnej błyski obrotowej*

Artur Wodarski**modlitwa babci Franciszki**

Matko Święta,
ja Franciszka, z domu Pogonowska,
modlę się do ciebie o ziemię dla mojego męża,
który wyszedł na wojnę i nigdy nie wrócił.
Niech trafi mu się taki kawałek, jak u nas w Usiczach –
tłusty i pełen życia. Niech jego nogi zagłębią się w niej
do kolan, a dłonie nabiorą grudkę ziemi i pocują
zapach przednówka.
Matko Święta, kiedy głowę przyłoży do tej ziemi
zobaczy syna swojego. Ten jeden raz niech
spojrzy i zapamięta jego twarz, żeby do końca
z nim pozostała nawet wtedy, gdy już zamknie oczy.
Mnie, Matko Święta, daj tylko kawałek chleba na każdy
dzień mojej tułaczki po tym świecie. To kromka
dla syna mojego Franciszka, żeby nie umarł z głodu, bo
jedna śmierć w tej rodzinie wystarczy.
I nie pozwól mi, Matko, zwątpić, że mąż mój
znajdzie swój kawałek ziemi, a ja z synem
swoje miejsce, w którym będzie jak w naszych
Usiczach: tłusto i pełno życia. Amen.

Leszek Żuliński

Transformacja, transcendencja...

Beata Patrycja Klary od jesieni ubiegłego roku dostała wia-
tru, by nie rzec: szkwału w żagle. Pisała od dawna, publikowała od
początku lat dwutysięcznych, „pracowała na swoje nazwisko”, jednak
„Szczekanie głodnych psów” (2010) było bez wątpienia punktem
zwrotnym w jej literackich aspiracjach. Był to tomik absolutnie osobny
i osobliwie ezoteryczny, co – na szczęście – zostało zauważone. Niemal
w tym samym czasie posypały się nagrody na wielu, i to poważnych,
konkursach. Mówiąc językiem kolokwialnym: znalazła się na topie. Te
sukcesy były potwierdzane w tak wielu miejscach i przez tak różnych
krytyków, że obawa „pomyłki recepcyjnej” jest po prostu niemożliwa,
czego tylko pogratulować Autorce.

I oto wietrzę postawienie wyrazistego wykrzyknika nad tym,
co do tej pory osiągnęła. Bowiem najnowsza książka Klary nie tylko
nie jest gorsza od poprzedniej, ale otwiera jakby nowy rozdział jej
inwencji i możliwości. Nie ma między „Szczekaniem” a „Zabawa
w chowanego” zbyt daleko idących znaków równości, jest za to
jeden, najważniejszy: niezwykła formuła wyobraźni i języka. To
właśnie „wypracowała” w sobie Klary, tę osobną dykcję i sposób
postrzegania świata, dzięki czemu poezja wiecznie może mówić coś
nowego i wszystko inaczej. Dożyliśmy czasów, gdy klasycystyczne
formuły sztuki „przeżyły się” i gdy świat postmodernistyczny przy
każdym wyjściu na scenę poezji wymaga nowej sukienki słów.
A o to właśnie najtrudniej, o ten nowy design, o to nowe Chanel 5,
a Beacie jednak się udaje...

Tym razem w sposób szczególnie perwersyjny, bowiem
„Zabawa...” to są treny, to są epitafia napisane po śmieci jej Ojca.
A przecież literatura tanatoidalna ma za sobą ogromną historię,
tradycję i dorobek. Zabawa stwarza jakiś dotąd nieznaną wizerunek
świata i Losu, ich prawa, ich przeżywanie, ale – mimo to – czy
o śmierci można jeszcze powiedzieć inaczej? I coś nowego?
Przecież ją oplakujemy i ją ćwiczymy od zawsze.

Pytanie, oczywiście, jest retoryczne. Śmierć jest największą
zagadką, tajemnicą i „nierozstrzygniętym zdziwieniem”. Jest
Największym Pytaniem. Nie wiemy nawet, czy istnieje, kłócimy
się o to, choć towarzyszy nam od pierwszego dnia do ostatniego.
W wymiarze fideistycznym powinna nieść nadzieję, ale czy
niesie? Tak, zapewne jest to największa zagadka Losu – śmierć
zadręczająca nas na śmierć!

Można ten wątek ciągnąć w nieskończoność... W historii
literatury mamy jego wszelkie odmiany. A jednak Klary porwała
się... Na końcu książki padają „podziękowania” wielkim klasykom
tematu (Rilkemu, Mastersowi, Kawafisowi, Whitmanowi i innym)
– widocznie Autorka studiowała poetycką „materię problemu”...
Ale gdy Klary studiuje, to nie po to by naśladować, lecz by szukać
siebie. Liczne przywołania i kryptocytaty niczego tu nie przesądząją
– śmierć zawsze przeżywa się niepowtarzalnie i po swojemu. I tego
autentyzmu szukała.

Książka ma dwie części. Pierwsza to proza poetycka,
podzielona na minirozdzialiki: exordium – wyjawienie przyczyny
ból, comploratio – oplakiwanie, laudatio – wyliczanie zasług,
assuesco – przyzwyczajanie się... Tak zawsze pisało się
o „Trenach” Kochanowskiego, o tym, jak ewoluuje rozpacz i ból
po utracie Orszuli, aż dociera do brzegów pogodzenia i stoicyzmu.
Ten schemat nie mógł być inny, on oddaje prawdę psychologiczną,
uniwersalną, powtarzalną. Ale Klary lokuje swoje emocje
w prozodii współczesnego świata. Nie rezygnując z opisywania
paniki i pustki, która zawsze ogarnia nas po śmierci kogoś
bliskiego, Poetka odrzuca wszelkie tradycyjne gesty rozpacz.
A raczej: ona, rozpacz, kryje się w reizmie śmierci, w symptomach
codzienności, w przedmiotach, w funeralnych powinnościach,
w tym niewysłowieniu pustki, które błąka się po głowie bez



żadnych definicji. W pragmatycznych pytaniach: jak to zrozumieć,
jak z tym żyć, jak pogodzić świat namacalny z brakiem „desygnatu
osobowego”, do którego zawsze był przypisany. Wszystko w tych
utworach takie zwyczajne, tyle że dawniej nie pękało. Pękło! Można
zachowywać się mechanicznie, racjonalnie, intuicyjnie, ale i tak
nie wiadomo, jak. Te stany są całym nieszablonowym cymesem
tych „trenów”; Klary nie pozwala sobie na żadne dramatyczne
maski, figury oszalałej rozpacz, darcie szat i włosów, stylizację
żałoby, na żaden patos – ona chce tylko wiedzieć, co robić w takiej
sytuacji i jak żyć dalej na swoim skwerze, z którego zniknęło
zielone drzewo. Symptomy „sytuacji nadzwyczajnej” nie istnieją,
raczej proza „czarnych chwil”, dźwięki normalnego świata, pop-
kultury, pop-obyczaju, pop-realizmu – bo tu śmierz zmienia swoją
scenografię zgodnie z duchem czasu i z partyturą naszej codziennej
rzeczywistości. W tym „odpunderowaniu śmierci” kryje się cała
odwaga i szczerość tego tomu, co nie znaczy, że także cynizm czy
ozieźłość. Nie, czuje się tu jakiś „majestat zdarzenia” i ogromny
ból, jednak bardziej uciekający od poezji w życie niż – jak to
dawniej bywało – od życia w poezję.

Druga część tomu nosi tytuł transformatio – przeistoczenie,
jest pisana już wierszem... Ale to wiersze, a w zasadzie spójny
poemat, nie proza poetycka; to całkowite odwrócenie perspektywy.
Podmiot liryczny jest mężczyzną pochowanym pod kamienną
płytą i zastępnym w nagrobnym pomniku; to on „opowiada” świat
z tamtej perspektywy. Posągi są wszędzie... to zdanie powtarza
się jak mantra, jest obsesyjne, jest początkiem hymnu na cześć
Śmierci, jej wszechwładztwa, jej „totalitaryzmu”. Tu Klary
zrezygnowała już z prozodii wcześniejszej narracji i z reizmu
emocjonalnych odniesień. Tu panuje język symbolu i mitu,
wielkiej summy aksjologicznej, która wiezie do morału na
temat panśmiertelności wszystkiego. Osierocona dziewczyna
wysłuchuje opowieści skamieniałego Ojca, tak jak On wcielał się
w jej skórę, gdy żył i gdy ją wychowywał. Istota tej transformacji
to całe clou tego cyklu – ta spójnia żywych i zmarłych, ta jednia
życia i śmierci, to przechodzenia z ciała do ciała, i to łączenie się
w Krainie Posągów – jednej wspólnotie Przeznaczenia. Pointa:
ciało jest nieporozumieniem, przykrym przypadkiem. Tylko
niemądrą dygresją. Nihilizm? Tak, ale jaki dzielny i piękny, jaki
namiętny, jaki ostateczny.

To bardzo ponury i w jakimś sensie zarazem pogodny tomik.
Stoicki, nie dający nadziei. A jednak zbliżyć się do fenomenu
śmierci, przeżyć ją w sobie za życia, to sprawa warta wszystkich
pocieszeń świata i wszystkich innych omamów Poezji.

Książka bardzo pięknie, nieszablonowo wydana, jakby
zamykająca w sobie całą nieszablonowość Autorki.

Kazimierz Rink

W pierwszej osobie

Już sam tytuł „Piegi na słońcu” pozostaje niczym innym jak prostą sugestią odniesienia się do relacji z dookólnym światem w kategoriach cudzysłowu, przymrużenia oka i spojrzenia niewolnego od autoironii. Dystansu pozwalającego kontury rzeczy i zdarzeń obejrzeć w subiektywnym, ale zarazem najwyraźniej wyzbytym zbędnych celebrowań świetle.

Lucja Fornalczyk-Fice swój drugi – po 13 latach od debiutu – tomik nazywa tak pewnie nie bez powodu. Płynna, przelewająca się wokół materia życia każe porządkować bagaż doświadczeń i przeżyć, poukładać kaliber priorytetowych odniesień, zareagować nań z perspektywy człowieka uformowanego już i dojrzałego, stabilnie osadzonego na „wiarygodnie upewnionym” punkcie obserwacji. To i samo odautorskie credo poetki wyklada się nader przekonująco i bez cienia pretensjonalności: *Moje teksty rodzą się w ciszy / (...) Tylko ostrze pióra /przerywa ciszę./ Zmuszam karki, by/ kolorem i ciepłem/ kruszyły serca.*

Sentencja, epigramat, poetyka haiku, lapidarność i esencjonalność myślowego kontrpunktu – to w warstwie formalnej ulubione tropy wiodące odbiorcę w świat wtajemniczeń i obłaskawień, którym autorka oddaje się już to pasją, już to widowym, ufnie akcentowanym – mimo czyhających nań pułapek – sentymentem. Jest to liryka babska, w tym dobrym, a już z całą pewnością szlachetniejszym słowa tego znaczeniu. Jakby przywołująca aurą i klimatem poetyckich rozedrgań głośny sprzed wielu lat tom wierszy Anny Świrszczyńskiej „Jestem baba”. Tamte wiersze miały w sobie coś z dumnej, powleczonej cierpkością cienia goryczy, co rusz włączanej w rytuał płaskiej etykiety marginalizującej samą istotę kobiecości. Degradującej jej niezbywalne prawo do feministycznych samostanowień. Prawie jak w filmowej „Feminie” Piotra Szulki. Poetka z Gorzowa świadomie wybiera jakby przeciwległe tego przypadku skrzydło; próbuje obejść i zarazem cokolwiek okpić odwieczną rekwizytornię kulturowych gadżetów i pełnych cywilizacyjnego blichtru błyskotek. Wabią one nieustannie kobiece tęsknoty i przyziemne, udęczone codziennością marzenia o nowym podziale ról i wpisania się w ich przekorne wykreowanie. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Postanawia się więc odeń uwolnić, odsłonić ich fiasko i niekontrolowany, a typowo wirtualny powab: *Dzisiejsza Penelopa/ nie czeka na ukochanego/ z nowo utkanyim dniem./ (...) Obmyśla, jak się/ w piórka przystroić/ i „iść na sepa”./Jak zaimponować, by pływać w dostatnim,/ mętnym stawie („Penelopa 2000”).*

A to samo w sobie wywołuje konieczność zautoryzowania „corpus delicti” każdego z możliwych wyzwań albo i pokus, bo kobiecie przystoi i przewrotność i ryzyko samo, wszak jej buntowniczej naturze niejedno daje się wielkodusznie odpisać z konta wątpliwych zasług lub pobjążeń.

Nie da się ukryć, wierszami z „Piegow...” rządzi wszechwładnie i niepodzielnie zaimek „ja”. W dodatku mamy do czynienia z liryką lustrzanego „ego”, raz zanurzaną w egotycznym zwierciadle introspekcji, innym razem w egocentrycznym źródlanym odbiciu, mającym wydatnie poprawić kondycję i samopoczucie – poszukującego prawdy o sobie samym – podmiotu lirycznego. Czasem stwarza to wrażenie jakby filozofująca poetka sama chciała okazać się mądrzejsza od żywiołu stwarzanych wierszy i puszczać wodze temperamentom właściwym nieposkromionym na tym gruncie zapędom. Choć, warto zauważyć, popelnia to w najlepszej za każdym razem wierze, być może obliczonej na estradowy efekt i towarzy-



szący mu publicznie aplauz. Bo rzecz dotyczy tekstów o zacięciu zdecydowanie satyrycznym i nieprzebierającym w sarkastycznych środkach wyrazu. Ale i tu zdarza się poetce coś tak osobliwego jak „Wykład”, rzecz raczej starannie przemyślana i stroniąca od bulgotu wolnej sobie a muzom retoryki, a i taniego poklasku. Anna Kajtochowa określa to w „Postscriptum” nieukrywaną skłonnością do przerysowań.

Zostawmy wszystko co boskie, a cesarskie oddajmy cesarzowi. Najbardziej od strony poetyckiej „do twarzy” autorce „Piegow na słońcu”, mimo wszystko, z dyskretną, pastelową, miękko naszkicowaną liryką miłosną. Takie zaś wiersze, jak „Jestem dla Ciebie”, „Siła kaskady” czy „Prośba” sygnalizują, że na tym akurat gruncie autorka nie powiedziała jeszcze przysłowio- wego, ostatniego słowa. Sama tradycyjna formuła przekazu niczemu tu nie przeszkadza, wszak respektuje najlepsze i wypróbowane po wielokroć w tym nurcie wzorce.

Dygresja marginesowa prawie. Lucje piszące wiersze to mały, ale jakże znaczący podrozdział we współczesnej poezji kobiet. Wiadć je w publikacjach, na konkursowych forach i nieprzebranych poetyckich zlotach. Mogłyby z powodzeniem utworzyć fanclub poetek spod znaku tego właśnie imienia. I dowartościować go tym, co w ich wierszach trudne raczej do przeoczenia.

Póki co, tej z Gorzowa Wlkp. warto zawierzyć w przeświadczeniu, że w pełni na to zasługuje. Te dedykowane Najbliższemu wiersze są jak przystań-oddech przed daleką podróżą. Pozwalają krzepić się pożywnym i wyważonym słowem, słowa zaś wiążą w supelki przywracające frazom i wersetom słońce, posypane piegami nadziei. Powie ktoś; niewiele, ale i całkiem przecież sporo, jakby na rzecz nie spojrzeć.

Lucja Fice, „Piegi na słońcu”. Kraków 2011

Dorota Olejnik

Plan

Rozgorączkowane tętno świata

Zagłada w przekrwione oczy ptaków...

Masz plan – zasnąć i obudzić się, gdy

Puls nieba stanie się nieuchwytny, gdy

Zmęczona krew rozleje się

Niczym niezamierzona, poranna kawa.

Masz plan

Niecierpliwym długopis opuszcza dłoń,

Szuka kontekstu vis-à-vis pól z konfiturą

Masz plan

Spoglądasz w oczekiwaniu na telefon

Prosisz Boga o wsparcie...

Masz plan. Plan. Masz

Wszystko jest lepsze niż myślenie

Więc zasypiasz wsłuchany w bicie serca nocy

I tylko ten uporczywy niepokój...

Masz plan?

Ireneusz K. Szmidt

„Słowa odnajdują słowa”, czyli poeta „wskazany na siebie”

Na okładce w kolorze palonej sienny spływające warstwowo poziome bruzdy zaoranego pola. Na nich długi cień człowieka z podniesionymi wysoko rękoma. Możemy się domyślać, że to sylwetka poety trzymającego nad głową aparat, rzucona przez słońce zachodzące za jego plecami. Ta okładka świetnie pasuje do zawartości tomu wierszy Romana Karwackiego pod tytułem „Słowa odnajdują słowa”. Tomik jest skromny, liczy tylko 32 strony. Wyraźnie dzieli się na dwie części. W pierwszej są teksty liryczne zapisane w wersach, które czytelnik postrzega jako wiersze, w drugiej zaś w formie typowej dla prozy, krótkie refleksje, może tylko notatki, ale tak przesycone poezją, że przy innym zapisie mogłyby się znaleźć w części pierwszej. Czy więc autor dopiero szuka formy, która najlepiej wyrażałaby jego intencje?

W notce biograficznej Romana Karwackiego czytamy, że mieszka w podgorzowskim Jeninie, słucha kur sąsiadów, pielęgnuje własny ogród i pracuje on-line. Także, że jest z wykształcenia leśnikiem i niedawno skończył 50 lat. Krótko mówiąc – szczęśliwy, dojrzały człowiek. A przecież z wierszy to szczęście nie emanuje. Odwrotnie. Autor pisze o sobie: *za życia jestem cmentarzem (...) widzę odpadki, śmieci.*

W tomiku znajdują się wiersze pisane nawet 30 lat temu, ale tonacja wszystkich jest podobna: rozczarowanie, gorycz. Jak w wierszu **bez tytułu**:

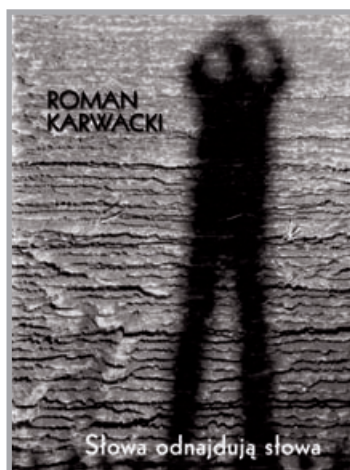
*zawiodły mnie słowa donikąd.
Głupio jakoś całe życie z nimi.
Jak będzie teraz bez tych słów?
Przyjaciołom puste koperty,
prezesom nieme przepraszam, że żyłem.
Poezji zielony balonik, psu smutek,
ziemi kości.*

Przy lekturze prawie każdego wiersza Romana Karwackiego widzę – jak na okładce – chropawe tło jego życia i wydłużoną sylwetkę człowieka z podniesionymi do góry rękoma. Gest podania? Gest rezygnacji? Niezupełnie. Jest jeszcze nadzieja:

*Nadzieja jest psem
merda ogonem
do stóp się lasi
o coś prosi
Nadzieja jest jeżem
w podróży po chłodnym asfalcie
na drugą stronę
Nadzieja jest
I jest to co po niej przychodzi.*

W tym wierszu, zatytułowanym „**Test wyboru**” poeta Karwacki nie wskazuje palcem, co po tej nadziei przychodzi. Może reinkarnacja?

Po lekturze całej książeczki wydaje się, że najbliższa pocie jest psia skóra, dola i niedola. W miniaturce „**Hosanna**”:



(...) *Nocą klamstwa są tak bliskie rzeczywistości, że wręcz stają się prawdziwym życiem – piękną wieczorową biżuterią. Wpatrując się w gwiazdozbiór swego pochodzenia, śnię – psa z Gai sen.*

W wierszu „**Piesek**”:

*Biedny ja w roli starego psa
biedny dzień co mnie osaczył
lecz noc mnie rozgrzesza
biedne noce, biedne dni
zakończenia*

W miniaturce „**Teora strun**”:

Pies-człowiek pisze w ciemnościach.

*W gwiazdozbiórze Psa zamieszanie. Psy czekają. Noc całą ludzie o mniej zwierzęcej naturze śpią nieświadomi psiej pracy. Niech tak zostanie. Nie budźmy nikogo... A jak miało być przedtem? Czy jak w „**Eutanazji**”: Chcemy to mieć za sobą. Jak najszybciej i najlepiej bez powrotu (...) W napięciu czekamy na dopełnienie się cudu wskrzeszenia – ten nie następuje nigdy. (...) Pies przyszedł, położył mi pysk na kolanie – wzruszył, ucłowieczył. Potem przyszedł sen, płakałaś w nim przejmująco i cicho.*

Poeta Karwackiego najlepiej się czuje w skórze psa. Z jego perspektywy (najlepiej niewidoczny) ogląda, sądzi i ocenia świat i ludzi. Wśród nich najsurowiej siebie:

(...) *Jestem kamieniem obraży
entropią czterech kół
krzywą spadku sprzedaży
jak bardzo jestem szkodliwy
nie mam pojęcia
List gończy bez mojej twarzy
w przenikliwych oczach radarów
nikogo nie obchodzi
Wierszem wynagradzam światu
mknąc niewidzialny.*

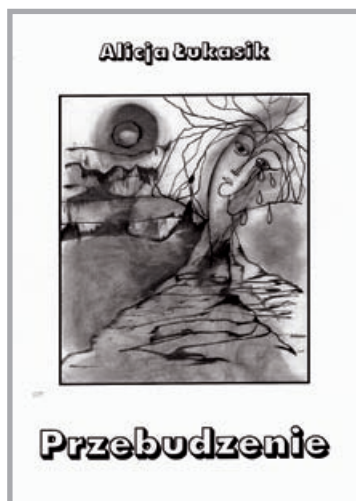
Poeta w Karwackim ma idealnego czytelnika. Podpatruje go, stawia mu pytania, raz mu wierzy, raz odsądza od wiary, to proponuje mu konsumpcję słów i metafor, to jak w „**Kanibalu ukaranym**” w chłodnym mrowieniu przedpołudnia każe spożywać swoją krew i ciało. W tym samym wierszu przyznaje, że *wyrzygał całe swoje życie*, a w innym („**Una vida de perros**”), że *życia się nie odszczeka*. Raz jak w „**Bagażu**” wybiera się koleją do Warszawy i Łodzi, z biletem powrotnym donikąd, by już w „**Powrocie**”, niczym Odys, w światłach mijania tych, co zawsze w drugą stronę, ujrzeć czekającą żonę, psa, synka Telemacha, ogród i koniec podróży (?).

W końcu we „**Wskazanym**” poeta udając siebie mówi do Karwackiego wskazując palcem w jego pierś: *Na dowód masz ciało, myślisz, kochasz, śpiewasz, płaczesz (...). By przejść na drugą stronę nie trzeba Ci aktu urodzenia, dowodu osobistego, aktu zgonu, świadków. Na całym świecie nie ma nikogo, kto lepiej niż Ty, wcielilby się w Twoją postać.*

Wszyscy wierzą. Nikt niczego nie zauważa. Takie wieczne rondo egzystencji. Znów w Gorzowie narodził się prawdziwy poeta. Wybór jego wierszy ukazał się w poprzednim numerze „**Pegaza**”.

Przebudzenie Alicji

Alicja Łukasik jeszcze nie skończyła 18 lat, a już jest laureatką kilku konkursów poetyckich. Niedawno ukazał się jej debiut książkowy – tom wierszy pod tytułem „Przebudzenie” wydany przez gorzowski oddział Związku Literatów Polskich z błogosławieństwem Rady Wydawniczej przy Wydziale Kultury (fundusze). Już pierwszy rzut oka zachęca do wzięcia tej książki do ręki: liryczne ilustracje Romany Kaszczyk kontrastują tam ze zdjęciem autorki, na którym pokazuje się ona w bluzce w paski i spódnicy w kwiatki. Więcej tu ekstrawagancji, czy poezji? – pytałam sama siebie przed lekturą.



Po lekturze już wiem, że trzeba wskazać wyłącznie na poezję, i to wysokiej próby. Tom zaczyna wspomnienia dzieciństwa, wiersze, w których dominują przedmioty pobudzające wspomnienia. Dokładnie w połowie tomu znalazł się wiersz „Wyprowadzka”. Jego bohaterką jest stara lalka, która była towarzyszką dziecięcych zabaw. Potem miała miejsce rzeczywista przeprowadzka (wspomnienie dworca w Berlinie). Wtedy lalka jechała z autorką wiersza. Teraz, zapewne po kilku latach, nie jest już taka piękna, ma podartą sukienkę, splątane włosy.

Dzieciństwo się skończyło. Nastąpiło przebudzenie. Proces, który dla Alicji Łukasik jest tak ważny, że przeniosła go do tytułu pierwszego tomiku swoich wierszy. Autorka nie ma jeszcze 18 lat i nie sili się, aby pokazywać, czym dorosłość pachnie. Ważne, że tamte wspomnienia i rzeczy z dzieciństwa teraz dopełnia swoją wrażliwością, a jednocześnie wtapia w swój obecny świat. Szafa z przedpokojem jest jak spracowany tragarz, a uliczka z obrazka Van Gogha wrasta w ścianę, rzeka rozkopyje brzegi jak grabarz, pociąg rozrzuci pasażerów po miastach. Alicja nie odrzuca przeszłości, wie, że jeśli cofniemy się o kilka przeżyć, w tym miejscu zobaczymy siebie, pochłoniętych (z wiersza „Pozostałości”).

Tom wierszy Alicji Łukasik „Przebudzenie” został zgłoszony do konkursu o Lubuski Wawrzyn Literacki. Pewnie sam Wawrzyn to jeszcze za wysokie progi, ale może choćby nagroda za debiut... mówiłam recenzując wiersze Alicji na antenie Radia Zachód. I tak się stało. Kapituła Wawrzynu miała podobne odczucia i uznała „Przebudzenie” za najciekawszy debiut 2010 roku na lubuskiej ziemi. Kolejny wyraz uznania dla gorzowskiego środowiska literackiego, które od ośmiu lat niemal każdego roku nobilitowane jest laurami lub wyróżnieniami Wawrzynu. W rym roku w niezwykle silnej konkurencji.

Alicja Łukasik, „Przebudzenie”, Gorzów 2010, wyd. ZLP w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, nr 36, Gorzów 2010/2011

Jak to ze szczęściem bywa...



Bardzo byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że autorka poczytnych książek mieszka w Gorzowie przy... sąsiedniej ulicy. Podpisywane pseudonimem książki wydaje w innych miastach, a jej tajemniczość wynika z tego, że inspiracją do powieści było jej własne życie. Ale przecież powieści to nie pamiętnik i nie można bohaterki utożsamiać z autorką, choć obu mogło się to i owo podobnego zdarzyć.

Z drugiej strony w każdej książce, a szczególnie w powieści, zawsze jest wiele z życia lub przemyśleń autora.

Gdy między sobą to uzgodniłyśmy, nieznana dotąd autorka, która podpisuje się jako Anna Strzelec, pozwoliła na prezentację jej książek, które ukazały się w wydawnictwie Radwan. Pierwsza ma tytuł „Tylko mi nie życz spełnienia marzeń”. Cóż za przewrotność! Przecież zawsze życzymy sobie właśnie spełnienia marzeń. Tytuł następnej to „Druga pora życia, czyli jak zabija się miłość”. Obie fabularnie się łączą, a ich główną bohaterką jest 40-50-letnia kobieta, której autorka pozostawiła swoje imię – Anna.

W końcu lat 80., gdy w Polsce było naprawdę źle, ona i jej mąż zdecydowali, że przeniosą się do Niemiec. Mieli za sobą 20 lat udanego małżeństwa, trójkę dorastających dzieci, którym chcieli stworzyć lepsze warunki bytu. Pan odwiózł panią i najmłodszą córkę do Niemiec, by operatywna kobieta znalazła miejsce dla całej rodziny. Ona znalazła po niemiecku tylko „gut morgen” i „danke”. Wtedy Zachód wabił. Dziś lektura tego typu wspomnień uświadamia, jak daleką drogę przeszliśmy. Wracam jednak do fabuły. W Niemczech pani z trudem wiała gniazdko dla rodziny, tymczasem w Polsce pan bardzo szybko znalazł jej zastępczynię, której od razu zrobił dziecko i sprowadził do swojego mieszkania. To był naprawdę mocny cios dla naszej bohaterki. Jej świat się zawalił. Po prostu nie miała do czego wracać.

Została w Niemczech. Tam po pewnym czasie zawarła drugie małżeństwo z kulturalnym Niemcem. Było serdecznie, pięknie i bogato. Ale taki raj nie trwa wiecznie. Z czasem kulturalne polsko-niemieckie małżeństwo zaczęło się coraz bardziej od siebie oddalać. Rozpad polskiego małżeństwa Anny był jak uderzenie obuchem w głowę. W niemieckim procesie przebiega po europejsku, cywilizowanie, w pełnej zgodzie, bez awantur, przy ustaleniu za-

sad kompromisu. Powieść „Tylko mi nie życz spełnienia marzeń” kończy się w zawieszeniu: Anna wraca z Polski do Horsta, do niemieckiego domu, który uznaje za swój, decyduje się na kolejne ustępstwa, byle tylko doznać czułości z jego strony, byle znów być kochaną. Jej marzenia się spełniły, ale...

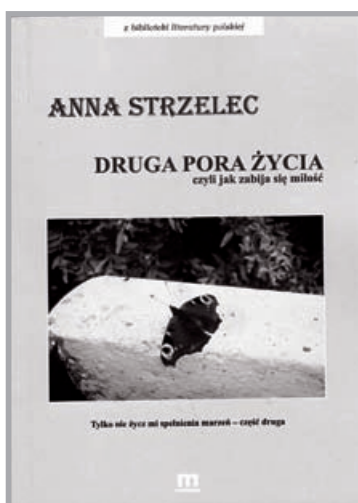
„Druga pora życia” jest kontynuacją historii Anny, a w zasadzie pogłębieniem analizy rozpadu tego polsko-niemieckiego małżeństwa. Jak zwykle przy rozwodzie, nie ma jego jednej przyczyny. Dla Anny bardzo ważna była trójka jej dzieci w Polsce, które już założyły swoje rodziny i dały babci aż siedmioro wspaniałych wnucząt. A tam miała jednego krnąbrnego syna Horsta z pierwszego małżeństwa. Złe się ułożyły jej relacje ze starszym pokoleniem. Rodzice Horsta zachorowali na starość, nie byli zdolni do samodzielności. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem jest powierzenie ich obsługi niepracującej Polce, czyli Annie. Wszak setki Polek znakomicie sprawdzają się w Niemczech jako opiekunki osób starszych. Annę jednak ten rodzaj obowiązków przerósł. Buntowała się, coraz częściej uciekała w rodzinne strony. Dużo wcześniej, jeszcze w czasie małżeńskiego szczęścia, Horst planował wybudowanie domu w Polsce i przeniesienie się tu na emeryturę. Anna tą perspektywą żyła. Aż pewnego razu on powiedział: – Nie, nie wyjadę z Niemiec. Runęły nadzieje. Ciekawe, że na dalszy plan przeszły najważniejsze w pierwszej powieści podejrzenia Anny, że Horst ja zdradza. Tu ona uświadomiła sobie, że mąż łatwiej niż z nią porozumiewa się z sąsiadką, Niemką. Odezwały się różnice kulturowe. Dla Anny niemożliwe okazało się małżeństwo z Niemcem, który wyznawał inny system wartości, miał inne życiowe plany, inne spojrzenie na codzienność. Czytając tę książkę, zastanawiałam się, jaką cenę muszą płacić Polki, które decydują się dla wygodniejszego życia na oderwanie od własnych korzeni, od dzieci i wnuków. Jak żyje się w samotności? Bo Anna na finiszu tego małżeństwa była bardzo samotna. I bardzo smutna. Niestety, każdy rozwód boli. Po prostu cholernie boli. Przez całą „Drugą porę życia” Anna wytrwale szuka dróg porozumienia z Horstem, mimo że coraz bardziej uświadamiała sobie nieuchronność rozstania. Ostatecznie wraca do Polski.

Te dwie książki opowiadają o bardzo prawdopodobnym losie polskiej, samodzielnej i dzielnej kobiety, a los ten wpisany jest w marzenia i rozczarowania wielu Polek. Przedstawiona tematyka sytuuje te powieści w popularnym nurcie współczesnej prozy kobiecej. Sporo ukazuje się ostatnio książek z takim stemplem, a więc konkurencja jest duża. Powieści Anny Strzelec doskonale się w tej konkurencji bronią, gdyż są w pełni wiarygodne zarówno w sferze przeżyć psychicznych bohaterki, jak

i realiów jej życia. Książkę świetnie się czyta, bo Anna Strzelec prowadzi narrację z wielu planów czasowych, włącza różne formy wypowiedzi, łącznie z e-mailami i esemesami, ożywia dialogami, a nawet wplata wiersze. Ładnie narzysowana jest główna bohaterka: ciepła, serdeczna, pełna życzliwości, a przy tym bystra obserwatorka niemieckiego życia i przenikliwa jego komentatorka. W planie psychologicznym Anna utwierdza czytelnika, że szczęście zawarte jest w codzienności, w drobiazgach, w niesieniu radości najbliższym. A przecież taka postawa nie wystarczyła, by utrzymać miłość kochanego mężczyzny. To wielka niesprawiedliwość. Gdzież więc jest to szczęście? Szczęście damsko-męskie przez powieści Anny Strzelec tylko przemknęło, natomiast głęboko zakorzenione jest szczęście rodzinne, radość z dzieci i wnucząt.

Anna Strzelec ma już gotową następną powieść, choć jeszcze nie została wydana. Może tam znajdzie jeszcze inne szczęście?

Anna Strzelec, „Tylko mi nie życz spełnienia marzeń”, s. 166, „Druga strona życia”, s.168, obie Tolkmicko 2010, Wydawnictwo Literackie i Naukowe Radwan



Jerzy Hajduga Posłuchaj pamięci

choć dawno zmarłaś
mamo pełny jest życia
twój pokój

aż przykładam ucho
gdy jest za głośno
i gdy za cicho

dziś w nocy także
nie mogłaś zasnąć

wiem dobrze
wiem

Pokątne noce

jak długo klei się do muru
dłoń od śmierci mamy

tam na wzgórzu że klasztor
to ściany mojego noclegu
a wyżej na poddaszu
pod skrzydłami w szczelinie
śpimy razem

jaskółki i ja

Literatura a media

Z zainteresowaniem przyjąłam książkę „Literatura w mediach. Media w literaturze – Doświadczenie obecności”. Zawiera ona 23 referaty wygłoszone na konferencji pod powyższym tytułem zorganizowanej w ub.r. przez gorzowską Państwową Wyższą Szkołę Zawodową. Redaktorzy książki pytają na okładce: Jak nowe media wkraczą do literatury? Jak literatura wkracza w byty medialne? Czym dla współczesnego czytelnika są media? Czy wzajemne relacje literatury i mediów to rodzaj gry?

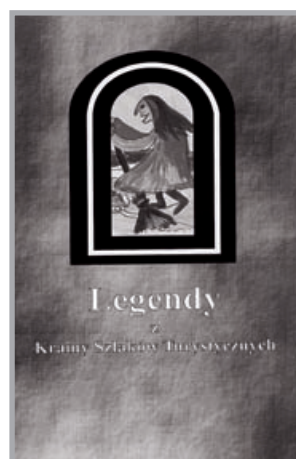
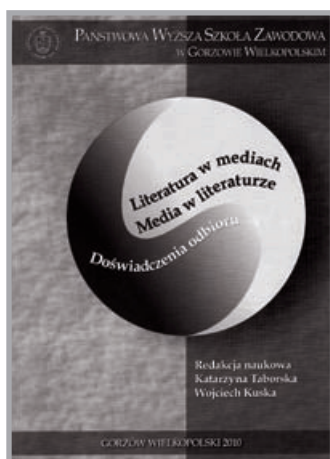
Każde z tych pytań wymaga dłuższych rozważań i chyba nikt nie sprecyzuje jednoznacznej odpowiedzi. A w miarę wchodzenia w problematykę, ilość pytań nie maleje, lecz rośnie. Doktor Arkadiusz Kalin z Gorzowa zajął się relacjami między internetem a literaturą. Nie wyobrażamy już sobie życia bez internetu, w internecie znajdziemy bardzo dużo tekstów literackich, ale czy to nowe medium wpłynęło na choćby powstanie nowych gatunków? Czy dostępność starych i nowych utworów powoduje, że więcej czytamy? Czy ludzie wychowani na internecie będą lepiej pisać? Pewnie jeszcze za wcześnie na jednoznaczną odpowiedź na takie pytania, ale winniśmy zdawać sobie sprawę nie tylko z szans, ale także z zagrożeń, jakie literaturze niesie internet. Bo przecież z tym czytaniem i pisaniem wcale nie jest lepiej. Ale z drugiej strony jeszcze nigdy nie było tylu co obecnie twórców wierszy, opowiadań, nawet powieści.

Relacje między literaturą a mediami można analizować na wielu płaszczyznach i w różnych aspektach. W tomie znalazły się rozprawy filozofów, pedagogów, historyków, krytyków sztuki, dziennikarzy, a nawet jeden rozdział napisała pani profesor astronomii. Wiem o tym nie tyle z lektury, co z wieczoru promocyjnego książki. Żałuję, że w samej książce nie podano podstawowych informacji o autorach wystąpień, nie wiemy więc, jaką dziedziną nauki się zajmują, z jakim ośrodkiem badawczym lub z jaką uczelnią są związani.

Wśród autorów jest kilku pracowników gorzowskiej PWSZ, co moim zdaniem, należy podkreślić. Oto oni: Barbara Popiel – filozof, Jerzy Madejski – literaturoznawca, Gabriela Balcerzak – teoretyk sztuki i idei artystycznych, Przemysław Słowiński – historyk, wymieniony już Arkadiusz Kalin – kulturoznawca oraz organizatorzy konferencji i redaktorzy książki: Katarzyna Taborska – historyk literatury oraz Wojciech Kuska – tu językoznawca. Spośród wymienionych zapewne nieobce jest Państwu nazwisko Wojciecha Kuski, dziennikarza naszej Regionalnej Telewizji Polskiej, bo przecież media dają większą popularność niż nauka czy nawet literatura. Niestety.

W październiku odbędzie się druga sesja o relacjach między literaturą a mediami. Pewnie znów pełna kolejnych pytań.

„Literatura w mediach. Media w literaturze. Doświadczenie obecności”. Praca zbiorowa pod red. Katarzyny Taborskiej i Wojciecha Kuski. Wyd. PWSZ, Gorzów 2011, s. 256



Kłopoty z legendami

Dawno, dawno temu, w czasach, które pamiętają tylko pozostałości kroniki... Tak się zaczyna niemal każda legenda. Z legendami z naszych stron mamy pewien kłopot. Każda legenda nawiązuje do autentycznych zdarzeń, nawet gdy w przekazie z ust do ust bardzo je zmieniono. Każda legenda związana jest z ludźmi tu żyjącymi, ich obyczajowością, wierzeniami, radościami i lękami.

Tymczasem po 1945 roku całkowicie zmienili się mieszkańcy Ziemi Lubuskiej. Niemcy wywieźli swoje legendy, a przybysze ze Wschodu przywieźli swoje. Tyle że te ostatnie wyjęte z realiów terenu, straciły swoją magiczną i legendarną moc. Natomiast niemieckie, jako kulturowo nam obce, długo nikogo nie zajmowały. Ale tęsknota za legendami pozostała. W Barlinku Romana Kaszczyca na podstawie niewielkich zapisków wymyśliła urokliwe legendy związane z jej miastem. Próbę pisania legend podejmowali zielonogórscy pisarze, by uzasadnić słowiańskie tradycje naszych ziem.

Teraz kolejny zbiór legend powstał z innej przyczyny, a mianowicie dla podniesienia turystycznych walorów ziem, o których opowiadają. Książkę pod tytułem „Legends z Krainy Szlaków Turystycznych” przygotowało Stowarzyszenie Kraina Szlaków Turystycznych, które łączy 11 gmin z północnej części województwa. W książce znalazły się legendy z Sulęcina, gdzie ma swoją siedzibę stowarzyszenie, oraz z Torzymia, Lubniewic, Łagowa, Deszczna, Bogdańca, Lubiszyna, Osna Lubuskiego, Kłodawy.

Prościutki są te opowiadki ludowe. Dużo w nich diabłów, dużo innych duchów, bo przecież rosnące w tych stronach przepastne lasy poprzecinane wąwozami rozdziły łąki, które uzasadnić mogło tylko działanie sił nieczystych. Ciekawie w tych legendach odbija się historia. Wiele z nich dotyczy wojen napoleońskich, dla Polaków będących promykiem nadziei na wolność i okresem chwały, dla Niemców zaś okresem klęski i podboju. Tu żołnierze napoleońscy są napastnikami, więc spotyka ich zasłużona kara, gdy giną w jeziorze, na szczęście pozostawiając skarb, który może cieszyć miejscowych. Zastanawiająca jest ahistoryczność tych legend. Jedna zaczyna się: *Gdy bawarscy margrabiowie władali Brandenburgią...* Jacyż to Bawarczyści w Brandenburgii? Nigdy ich tutaj nie było. Albo: *W czasie, gdy Polacy i Litwini siali wielkie spustoszenie...* Lub gdzie indziej: *Na Ziemię Torzymską przybyły zbrojne zastępy Polaków i Litwinów.* Właśnie. Jak sobie radzić z historią, która tak odmienny wymiar ma dla Polaków i dla Niemców? Wydawcy książki nie podjęli tego problemu, po prostu przytoczyli dawne krążące tu opowieści. Ale jak naszym dzieciom, głównym odbiorcom tych legend, je wytłumaczyć? Naprawdę mamy z legendami kłopot.

„Legends z Krainy Szlaków Turystycznych”, red. Honorata Aftyka, il. Urszula Kołodziejczyk, wyd. Stowarzyszenie Kraina Szlaków Turystycznych, Sulęcina 2010, s. 50

Głaskanie to nie żart

Pani Weronika Kurjanowicz jest znaną i cenioną polonistką, nauczycielką wielu pokoleń gorzowian, czułą na urodę i poprawność języka polskiego w mowie i w piśmie. Choć skończyła już 83 lata, co z dumą podkreśla, chętnie czyta nowości, szczególnie poetyckie i wnikliwie je komentuje. Do tej pory nadaje poprawność językową opasłym tomom „Nadwarciańskiego Rocznika Historyczno-Archivalnego”.

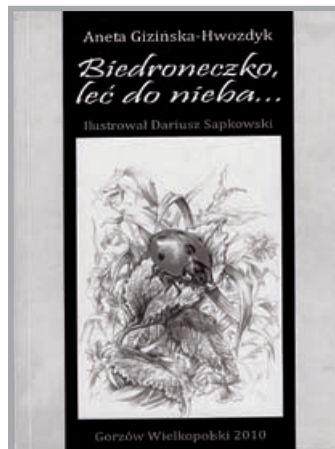


Szeroko podkreślam polonistyczne zasługi pani Weroniki Kurjanowicz, bo dopiero teraz ukazała się pierwsza książka jej autorstwa. Tytuł – „To tylko żart”. Składa się na nią dziewięć opowiadań z życia wziętych. Albo raczej przypowieści, bo z opisanych zdarzeń czytelnik bezbłędnie wysnuje morał. Pani Weronika nie chce, aby jej książkę zaliczać do literatury, o swoich opowiadaniach mówi, ot, drobiazgi. Długo trzeba było ją namawiać do ich opublikowania. Wreszcie zgodziła się przekazując prawa autorskie gorzowskiemu kołu Towarzystwa Pomocy imienia Brata Alberta. Bo pani Weronika od lat wspiera podopiecznych tego Towarzystwa, czyli bezdomnych. Bywa w ich schronisku, rozmawia z nimi, przyjmuje ich w swoim domu. Widzi, z jakim trudem przychodzi im budowanie więzi społecznych, odnajdywanie przyjaciół, tworzenie rodziny. A jakże łatwo zniszczyć takie relacje. I jaka pustka rodzi się z ich braku. Prawie wszystkie opowiadania dotyczą tych właśnie problemów. Czasami ich bohaterami są nie ludzie, a pieski, ale problem pozostaje ten sam, bo jak w tytule jednego opowiadania „Každy chce być pogłaskany”.

Pani Wronika Kurjanowicz świetnie podgląda zwykłe, codzienne sytuacje, a przesłaniom płynącym z nich nadaje walor uogólnienia. Umiejętnie przy tym zachowuje autorski dystans. Książce przewrotnie nadała tytuł „To tylko żart”, jednocześnie żartując i z siebie. Bo choć tematy opowiadań są poważne, w narracji wyraźnie odbija się poczucie humoru autorki. Jak życie, są jednocześnie smutne i wesołe. Napisane są przy tym żywym, jędrnym językiem, a sam sposób wypowiedzi świetnie charakteryzuje bohaterów. Opowiadanie „Głosy” jest pod tym względem znakomite. Jego bohaterem jest pan o nazwisku Naducho, którego praca polegała na słuchaniu telefonicznych rozmów ludzi. Tu słyszysz echo podsłuchów ze stanu wojennego. Czegóż to Naducho się nie nasłuchał! Niestety, nie treści politycznych, których oczekiwał, a kaleczono go języka, który nas charakteryzuje pełniej niż czyni.

Niestety, w książce nie ma nazwiska autorki, która ukryła się za pseudonimem Dora. W Gorzowie wszyscy wiedzą, że jest nią znana i ceniona pani Weronika Kurjanowicz, ogłaszam więc to nazwisko także w „Pegazie Lubuskim”. Zaś panią Weronikę proszę o inne tego typu opowieści, koniecznie jednak podpisane pełnym, własnym nazwiskiem.

Zabawa słowem i fantazją



Aneta Gizińska-Hwozdyk lubi małe formy prozatorskie. Jest to gatunek tylko z pozoru łatwy. Wymaga przecież, aby przy pomocy niewielkiej ilości precyzyjnie dobranych słów powiedzieć więcej, niż niesie niejedna powieść. Jako absolwentka dwóch filologii – polskiej i rosyjskiej, autorka książki zdaje sobie sprawę z wagi każdego słowa. Konsekwencją takiego stosunku do budowanego tekstu jest to, że dopiero niedawno ukazała się

pierwsza książka Anety Gizińskiej-Hwozdyk, choć pisze ona od kilku lat i jest laureatką wielu nagród w konkursach literackich.

Tom pod tytułem „Biedroneczko, leć do nieba...” składa się z 20 małych form prozatorskich, najczęściej opowiadań, także scenek, kartek z pamiętnika, przypowieści itp. Tylko w niewielu głównym bohaterem jest człowiek, a jeśli już to z jakimś defektem duszy lub ciała.

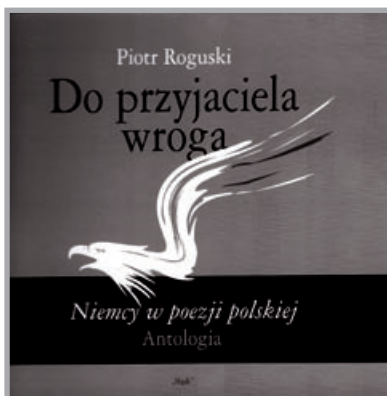
Dla mnie najciekawsze są opowiadki inspirowane przyrodą. Aneta Gizińska-Hwozdyk wnikliwie patrzy na przyrodę. Pozostały w niej refleksy bliższych związków z bujną przyrodą z lat dzieciństwa, ale teraz, jako mieszkanka miasta, postrzega przyrodę przez najbliższe elementy: obcą nam kulturowo, ale urodziwą forsycję, łabędzie na Warcie, kasztan rosnący przed szkołą, wszechobecną tytułową biedronkę, żuka przewróconego na grzbiet, a nawet jesienne badyle. Umie świetnie je opisać, tchnąć w nie swoją wrażliwość i fantazję, nadać metaforyczne życie, wreszcie pokazać człowiekowi, jak wiele traci oddalając się od przyrody.

Często głównym bohaterem czyni przedmiot, np. rajstopy uosabiające duszę kobiety, zielone szkieleto jako symbol nadziei. W tym nurcie mieści się ulubiony zabieg autorki, czyli powiększanie tych przedmiotów do monstrualnych rozmiarów i badanie, co się wówczas dzieje z otoczeniem. Pomyślcie na przykład, jak byście się zachowali, gdyby wasza miotła do zamiatania pewnego dnia zaczęła rosnąć. Bohater opowieści nauczył się miotle... pleść warkocze. A jak zmieniłoby się wasze życie, gdyby sprawdziło się porzekadło: Kaktus mi na dłoni wyrośnie... Ten typ opowieści Gizińska-Hwozdyk wprost celebrowała szczegółowo opisując etapy przemian zrodzone w jej bujnej fantazji. Przyznam, że wołałabym szybsze tempo narracji, co bardziej zbliżyłoby te opowiadki do groteski. Ale w tej konwencji pełniej można się delectować słowem i pomysłami autorki. Myślę, że lepiej niż w czytaniu mogłyby się te historyki sprawdzić w słuchaniu. Może więc doczekamy się pierwszego gorzowskiego audiobooka?

Żałuję również, że do tomu nie włączono opowiadań wcześniej nagrodzonych i opublikowanych w konkursowych wydawnictwach, często trudno lub całkiem niedostępnych. Ale może złożą się one na drugą książkę? Na pewno warto ją wydać.

Niemiec: wróg czy przyjaciel

Dotarła do mnie niezwykła książka. Ma dziwny tytuł: „Do przyjaciela wroga”. Ale podtytuł wyjaśnia wszystko: „Niemcy w poezji polskiej”. Autor antologii, profesor Piotr Roguski związany jest z dwiema uczelniami: z Instytutem Sławistyki Uniwersytetu w Kolonii oraz



z Akademią Humanistyczną w Pułtusku. Jest autorem licznych prac na temat związków literackich polsko-niemieckich, także książek, na przykład „Tułacz polski nad Renem”, „Dzielny kosynier i piękna Polka”. Jako poeta wydał trzy tomiki wierszy oraz dwujęzyczny wybór pod tytułem „Co mnie obchodzą Niemcy?”. Wymieniam tu dorobek autora, bo jest on dla mnie rekomendacją właściwego wyboru wierszy do antologii. A zbudowanie antologii tematycznej to zadanie naprawdę trudne. Bo przecież, aby wybrać wiersze na dany temat – tu relacje polsko-niemieckie – trzeba najpierw przeczytać całą, podkreślam: całą polską literaturę. Utwory nie tylko znanych poetów, także tych zapomnianych, bo przecież ktoś z nich mógł napisać wiersz ważny dla tej antologii.

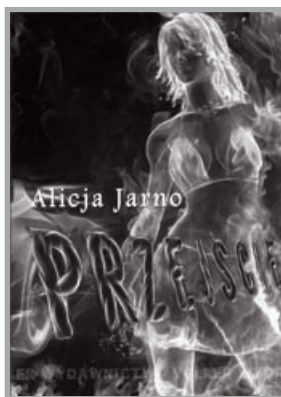
Temat relacji polsko-niemieckich jest trudny nie tylko ze względu na stereotyp, że – jak napisał Wacław Potocki – *Póki świat światem, nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem*. Ważniejsze jest to, że każda przyjęta przez autora antologii postawa będzie odczytywana w kontekście politycznym, Choćby nie wiem jak się od polityki odżegnywał.

Antologia ma układ chronologiczny. Od średniowiecza do pierwszego rozbioru Polski, potem Polska pod zaborami, dwudziestolecie międzywojenne, wojna i okupacja. Piąty, najobszerniejszy rozdział, to „Obrahunki powojenne”. Do tego rozdziału weszły wiersze poetów gorzowskich: **Zdzisława Morawskiego, Kazimierza Furmana, Ireneusza Krzysztofa Szmidta** oraz **Dariusza Muszera** wywodzącego się z naszych stron, ale od lat mieszkającego w Hanowerze. Przypominano tam także poetycki dialog między Zdzisławem Morawskim a Helmutem Preisslerem po upadku muru berlińskiego, dialog, który otworzył nowy rozdział w twórczości obu poetów, niestety, u Morawskiego krótki, z powodu jego śmierci. Wiersze naszych poetów stoją w tej antologii obok wierszy tużów poezji polskiej, co miłe, ale co jeszcze miłsze, wnoszą nowe, ciekawe spojrzenie na relacje polsko-niemieckie.

Lektura tej opasłej antologii pokazuje, jak bogate i różnorodne były i są związki z naszym terytorialnie najbliższym sąsiadem, jak wiele one wniosły do kultury polskiej, ale jednocześnie jak wyzwalały nasz szowinizm. Piotr Roguski dał swojej antologii tytuł „Do przyjaciela wroga”. Niestety, ciągle nie wiem, czy w literaturze więcej jest odniesień do przyjaciela, czy do wroga.

Antologia „Do przyjaciela wroga – Niemcy w poezji polskiej”, pod red. Piotra Roguskiego, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 2010, s. 354

Między ciałem a duchem



Witam pierwszą powieść młodej autorki z Gorzowa – Alicji Jarno. Adeptki literatury debiutują najczęściej tomikami poezji, rzadziej zbiorami opowiadań, a zupełnie wyjątkowo powieściami. Alicja Jarno od razu zdecydowała się na trudną formę powieści, której nadała tytuł „Przejście”. Ważne również, że znalazła wydawnictwo „Volker” w samym Krakowie.

Bohaterką książki jest młoda kobieta, Ewa, zajmująca się doradztwem w zakresie funduszy unijnych. To teraz atrakcyjny damski zawód! W pierwszym rozdziale Ewa doświadcza w pracy niesprawiedliwości,

potem zostawia ją chłopak, a więc mnożą się nieszczęścia. Ale krok po kroku Ewie zaczyna się coraz lepiej w pracy, w rodzinie, w miłości. Tu ważna uwaga. Czytelnik nie odbiera przedstawionych zdarzeń jako naciąganych, są one całkiem prawdopodobne. Wierzmy, że młodej i ambitnej dziewczynie układa się w życiu, bo jest to proces dobrze zapisany przez autorkę. Dość późno orientujemy się, a przynajmniej ja późno się zorientowałam, że jestem w świecie baśni lub w świecie harlekinów, że to, co przeżywa bohaterka, nie może być prawdą. Takie świadome zmylenie czytelnika (mnie) uznaję za sukces autorki, a dokonała tego wyłącznie środkami literackimi.

Akcja trwa nadal, nie ma żadnych podziałów powieści na tomy lub części. Ale teraz jesteśmy w całkiem innej scenerii, gdzie ważne są nie realne zdarzenia, a wielki dyskurs o wyższości ducha nad ciałem. Tak, duch jest ważny, ale czy to ma być chrześcijańska dusza, czy aura jako zjawisko ezoteryczne, a może jeszcze jakaś ektoplazma? A jak pokazać przez literaturę wyższość ducha nad ciałem? Zaręczam, Alicja Jarno dobrze sobie poradziła z tym trudnym literacko problemem.

Jak wskazuje tytuł, najważniejsze dla autorki i dla powieści jest samo przejście od materii do ducha. Alicja Jarno wymyśliła bardzo atrakcyjny literacko sposób opisanego przejścia. Jaki, nie ujawnię, ale dopowiem, że wykorzystała do tego czarnego kota, odwieczny symbol magii, spadkobiercę kota Behemota z „Mistrza i Małgorzaty”. Dopiero w epilogu mamy rozwiązanie wszystkich dręczących czytelnika pytań i wątpliwości. Ale nawet zaproponowane wyjaśnienie pozostawia bez odpowiedzi pytania: jak jest z duchem i z ciałem? I czy gdy nam się układa coraz lepiej, to tylko harlekin?

Powieść Alicji Jarno „Przejście” jest przez autorkę przemyślana i atrakcyjnie napisana. Autorka świadomie rozpoczyna od schematów z literatury popularnej lub z filmów s-f, by za chwilę powiedzieć nam: A kuku! To nie tak, trzeba myśleć o drugiej stronie medalu. Przyjęta przez autorkę koncepcja powoduje, że postaci drugoplanowe są przedstawione powierzchownie. Ale po chwili refleksji orientujemy się, że w powieści one pełnią wyłącznie funkcję pomocniczą, są pionkami dla głównego nurtu rozważań. Znów: schemat, świadome wprowadzenie czytelnika w pułapkę i przejście do innych znaczeń i pytań. Trzeba mieć odwagę, by zaproponować czytelnikowi taką grę, bo przecież odkrycie, że jest to gra, wymaga wielu lektur i orientacji w mechanizmach popkultury. I nigdy nie wiadomo, czy odbiorca dotrze do wszystkich zaplanowanych przez autorkę warstw interpretacyjnych. Choć nie ma tu Gorzowa, ale świat przedstawiony, w jakim żyje Ewa, jest naszym światem. Nawet ten z rozważań o duchowości też ma wiele cech realnych. Taką umiejętność literackiego opisu też uznaję za sukces autorki-debiutantki. „Przejście” to powieść o kobiecie napisana przez kobietę, bardzo kobieca, a przecież nie można jej sytuować w kręgu tzw. literatury kobiecej. Choć zaczyna się schematycznie, niespodziewane przejście decyduje, że powieść niesie filozoficzne rozważania, na które nawet starożytni nie znaleźli odpowiedzi. Ale szukać zawsze warto. Szczególnie przez literaturę.

Alicja Jarno, „Przejście”, Kraków 2011, Wydawnictwo Volker, s. 192

II LO w Gorzowie jest kuźnią uzdolnionej młodzieży twórczej. Na naszych łamach debiutowało kilka poetek, z których trzy wydały cztery indywidualne książki w serii BPL. Teraz okazuje się, że do piór ruszyło grono pedagogiczne tej szkoły. Dziś prezentujemy pierwsze książki polonistów: Anety Gizińskiej-Hwozdyk „Biedroneczko, leć do nieba...” (recenzja na str. 18) i Waldemara Szymczaka „Pysk żółwia”.

O tę książkę pyta profesora jego uczennica, Ania Antosz.

Nieosiągalne wydarzy się przede wszystkim

Ania Antosz: *Zacznijmy od końca. A dokładnie, od ostatniej strony „Pyska żółwia”. Powieść, choć wydana niedawno, powstała w 1987 roku. Co się z nią działo przez tyle czasu?*

Waldemar Szymczak: Szukała szczęśliwego wydawcy, no i nie znajdowała. Lata 80. były poza tym kiepskim czasem na wydawanie książek, chociaż tak właściwie w 1987 roku wydawano wszystko... Ja w każdym razie wyjechałem i tak to się przeciągnęło.

A.A. *Uczniowie naszej szkoły znają Pana jedynie jako autora kursowych skryptów, chyba już legendarnych. „Pysk żółwia” jest prozatorskim debiutem, czy też może ma Pan na swoim koncie inne publikacje?*

W.Sz. Była jeszcze druga książka, a tak właściwie pierwsza... To takie opowiadanka wydane w Rzymie, po włosku. Bardzo niewielka publikacja, która niejako miała zweryfikować moją znajomość języka. Przy okazji miało być to coś pożytecznego, ale jako że przeszły bez echa, nic pożytecznego, przynajmniej dla mnie, się nie stało.

A.A. *Tak naprawdę lektura pozostawia takie wrażenie, jakby wcale nie powstała ponad dwadzieścia lat temu. Charakterystyczny dla Pana humor, fascynacja Cummingssem, czy sam styl pisania, momentami filozoficzny, kłują w oczy. Czy to znaczy, że Waldemar Szymczak dwadzieścia lat temu był tym samym człowiekiem, jakim jest dzisiaj?*

W.Sz. Nie, nie napisałbym czegoś takiego dzisiaj... Przynajmniej, że trochę tę książkę przyciąłem, powyrzucałem stylistyczne fajerwerki. Z założenia miała być nerwowa, emocjonalna. Pisząc nie dbałem o realistyczne szczegóły, choć jest tam kilka prawdziwych historyjek, jak na przykład sprzątanie w toaletach za 50 zł. Z pewnością uniwersalność znaczeń sprawia, że można tę książkę odnieść do rzeczywistości.

A.A. *„Oczytanie jest jak objedzenie – prowadzi do przeżycia”, mówi Pański bohater. Czy po tylu latach czuje się Pan „przeżyty”?*

W.Sz. Nie, nie... (śmiech). Jest sporo książek, które chciałbym przeczytać, wielu z nich raczej nie przeczytam, choć wodzę za nimi tęsknym wzrokiem. W książce chodzi o czytelniczką hipokryzję, dzielenie się literackimi wrażeniami na pokaz. No i ta gra słówek dosyć mi się podobała...

A.A. *W ogóle istnieje Pana zdaniem taka granica, po przekroczeniu której literatura może człowiekowi obrzydnąć?*

Można czuć się „przeżyty”, przynajmniej jakimś gatunkiem. Zależy to od preferencji czytelnika. Uczniowie na przykład wolą literaturę akcji, gdzie coś się dzieje, a sama lektura nie wymaga zaprzątania umysłu. Ale przyjdzie czas, kiedy docenią literaturę refleksyjną – pamiętniki, dzienniki, eseje. Z drugiej strony nie można każdego dnia bombardować umysłu Kantem. Żaden umysł by tego nie wytrzymał...

A.A. *Główny bohater, Normalny, to indywidualista. Profesor Czaja, dzieląc się swoimi wrażeniami powiedział, że „nie może czytać tej książki inaczej niż przez pryzmat Szymczaka”. Lektura jest pełna przesłanek pozwalających twierdzić, że Pan i Pański bohater macie ze sobą wiele wspólnego.*



W.Sz. Profesor Czaja nie przeczytał jeszcze do końca – może dlatego, że się miga, może dlatego, że ma teraz nowe obowiązki – wszystkiego dobrego, Andrzej. Tak naprawdę sam chciałbym się dowiedzieć, ile mamy wspólnego. Część ma ze mnie, bez wątpliwości.

A.A. *Dochodzi jeszcze kwestia plakatu promującego książkę, z którego dowiadujemy się, że opowiedziana historia może dotyczyć każdego z nas. Co wobec tego przeciętny czytelnik może mieć wspólnego z Normalnym?*

W.Sz. Normalność. To, że większość bohaterów, w przeciwieństwie do Normalnego, ma imiona, wcale nie czyni ich normalniejszymi.

A.A. *Jednak w książce manifestowana jest niezgoda na brak normalności.*

W.Sz. Normalność w czystej postaci nie istnieje, staje się konfliktowa. Dochodzi do tego, że im ktoś jest bardziej normalny, tym większym jest świrem, trochę jak w „Paragrafie 22”.

A.A. *Tak więc Normalny, bo na tle całego otaczającego go domu wariatów okazuje się najnormalniejszy?*

W.Sz. Tak, z tym że oni już go nie wypuszczą z tego domu wariatów. Zresztą on chyba sam odczuwa, że ta normalność staje się ciężarem...

A.A. *Tytułowy pysk żółwia pojawia się w książce zaledwie kilka razy, ale niewątpliwie prześladowuje głównego bohatera. Skąd on się w ogóle wziął?*

W.Sz. Nie wiem, może z mrocznych urojeń... Pysk żółwia podoba mi się jako obraz – starczy, zmurszały, trochę jak taki patriarcha. Do tego czernie tworzące schizofreniczne, surrealistyczne wrażenie. Mądrość połączona ze złośliwością, ale też innocence.

A.A. *Książka powstawała w Gorzowie, ale też w Czarnej, w Bieszczadach. Twórcy tacy jak Stasiuk czy Stachura jechali tam w poszukiwaniu ciszy, spokoju, natchnienia, ale też po to, by odnaleźć i zrozumieć samych siebie. Czym dla Pana są Bieszczady?*

W.Sz. Odpowiedź jest bardzo prozaiczna: mam rodzinę, która przeniosła się tam z Gorzowa, którą po prostu często w tamtych okolicach odwiedzam, więc przy okazji pisałem tę książkę także tam. Niedługo pojawi się następna.

A.A. *Od niedawna „Pysk żółwia” dostępny jest tylko w gorzowskiej księgarni „Daniel”. Z jakimi opiniami zdążył się Pan do tej pory spotkać i czy w ogóle przywiązuje Pan wagę do krytyki?*

W.Sz. Z pewnością zwróciłbym uwagę na krytykę, problem w tym, że praktycznie nie znam żadnych opinii. Oczywiście nie mam tu na myśli ocen przyjaciół i ludzi, którzy widzieli moją książkę wcześniej, ale to przecież nie jest typowa literacka krytyka.

A.A. *Ustami jednego ze swych bohaterów mówi Pan, że „nieosiągalne wydarzy się przede wszystkim”. Czy ci, którzy jeszcze nie zetknęli się z Pańską książką, mogą traktować te słowa jako zachętę do tego, by po nią sięgnąć?*

W.Sz. Chciałbym, żeby tak było, bardzo bym chciał. Jeżeli komuś pozwoliło otworzyć mózg, umysł, myśl, to będę się bardzo cieszył. Ja też miałem w swoim życiu kilka lektur, które można powiedzieć, przeorały mi czaszkę. Jeżeli ktoś tę książkę przeżyje, przynajmniej w części, to będę rad.

NOWE WŁADZE Związku Literatów Polskich kadencja 2011 – 2015

Marek Wawrzekiewicz – Prezes Zarządu Głównego i Prezes Zarządu Oddziału Warszawskiego.

Andrzej Żor, Ryszard Ulicki, Andrzej K. Waśkiewicz – Wiceprezesi Zarządu Głównego.

Zbigniew Milewski – Sekretarz Generalny.

Aldona Borowicz – Skarbnik Zarządu Głównego.

Stefan Jurkowski – Przew. Komisji Kwalifikacyjnej.

Andrzej Gnarowski, Stanisław Nyczaj, Juliusz Erazm Bolek, Andrzej Dębowski, Piotr Dunin, Joanna Krupińska-Trzebiatowska, Miłosz Kamil Manasterski, Elżbieta Musiał, Andrzej Zaniewski, Ewa Zelenay – Członkowie Prezydium Zarządu Głównego.

Ponadto członkami Zarządu Głównego są prezesi oddziałów regionalnych: Eugeniusz Szulborski – Białystok, Dariusz Tomasz Lebioda – Bydgoszcz/Toruń, Kazimierz Radowicz – Gdańsk, Katarzyna Młynarczyk – Katowice, Ludmiła Janusewicz – Koszalin, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta – Kraków, Stanisław Andrzej Łukowski – Lublin, Kazimierz Arendt – Łódź, Józef Jacek Rojek – Olsztyn, Władysław Żołnowski – Opole, Paweł Kuszczyński – Poznań, Marta Pelinko – Rzeszów, Róża Czerniewska-Karcz – Szczecin, Andrzej Bartyński – Wrocław, Eugeniusz Kurzawa – Zielona Góra, Ireneusz Krzysztof Szmidt – Gorzów Wlkp.

Główna Komisja Rewizyjna: Zdzisława Jaskulska-Kaczmarek, Krystyna Konecka, Barbara Mazurkiewicz, Walentyna Miłojajczyk-Trzcicka, Jolanta Nowak-Węklarowa.

Główny Sąd Koleżeński: Kazimierz Burnat, Andrzej Grabowski, Jerzy Jankowski, Liza Gutowska, Irena Paździerz, Ryszard Podlewski.

ANNA STRZELEC 24. członkiem ZLP w Gorzowie

Z rekomendacją prezesa ZO ZLP w Gorzowie – Ireneusza K. Szmida i krytyką wprowadzającego, Jana Z. Brudnickiego, Komisja Kwalifikacyjna Zarządu Głównego jednogłośnie przyjęła w poczet członków Związku panią Annę Leszczyńską-Schütz – ps. Anna Strzelec – autorkę dwóch wydanych drukiem interesujących powieści: „Tylko mi nie życz spełnienia marzeń” i „Druga strona życia”.

Proza Anny Strzelec spełniła statutowy warunek ilościowy wydanych drukiem dwóch powieści (trzecią, „Wiza do Nowego Jorku” ma autorka w pełni przygotowaną do druku). Akcja wszystkich toczy się wartko, treść jest gęsta, atrakcyjnie poszerzająca wiedzę czytelników, a zwłaszcza czytelniczek, o stanie uczuć bohaterki. Książki te podejmują problematykę relacji między nową, po 1989 r. polską emigracją, a ludnością rodzimą, tu – Niemcami – którzy na własnej skórze doświadczali demograficznych skutków tej emigracji. Literatura oparta na autobiograficznych przeżyciach, wiarygodna. Gorzów literacki serdecznie wita w swoim gronie pisarkę Annę Strzelec.

Pisarze lubuscy wybrali nowe Zarządy Oddziałów ZLP i delegatów na Zjazd Krajowy



W piątek, 18 marca 2011 r. odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze członków ZLP, zrzeszonych w Oddziale ZLP w Gorzowie Wlkp.

Po dokonaniu wszystkich procedur statutowych i wysłuchaniu sprawozdania do-

tychczasowego prezesa Zarządu – Ireneusza K. Szmida zebrani udzielili absolutorium ustępującemu Zarządowi, w skład którego obok prezesa wchodził: Marek Grewling, Krystyna Caban i Tadeusz Szyfer.

Zarząd III kadencji Oddziału ZLP w Gorzowie Wlkp. ukonstytuował się z aprobatą zebrania następująco: Prezes – I. K. Szmidt, wiceprezes – Marek Grewling, skarbnik – Krystyna Caban, sekretarz – Jerzy Gąsiorek oraz Roman Habdas (bez funkcji). W skład Komisji Rewizyjnej wybrani zostali Ludwik Lipnicki i Z. Marek Piechocki.

W drugiej części zebrania wybrani zostali mandatariusze na Krajowy Zjazd Delegatów w Warszawie. Liczba 23 członków zwyczajnych Oddziału w Gorzowie statutowo uprawniona do wyboru 4 delegatów. Zostali nimi: Marek Grewling, Jerzy Gąsiorek, Roman Habdas oraz Ireneusz K. Szmidt.

W dyskusji wskazano na potrzebę kontynuacji programu Zarządu pierwszej i drugiej kadencji, zwłaszcza w dziedzinie podejmowania zleceń publicznych z UM Gorzowa na rzecz budowania silnego środowiska literackiego, poprzez własną serię wydawniczą Biblioteki Pegaza Lubuskiego. Także sprawowania patronatu nad warsztatowym czasopiśmie literackim pt. „Pegaz Lubuski”.

W swym wystąpieniu końcowym prezes w imieniu Zarządu podziękował koleżankom i kolegom związkowym za zaufanie i zapowiedział dalsze starania na rzecz integracji środowiska piśmarnego Gorzowa i ziem okolicznych, opiekę nad młodzieżą piszącą oraz dalszą ścisłą współpracę z dyrekcją i pracownikami WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie.

Nowy Zarząd wybrali także pisarze z Zielonogórskiej między. Prezesem został ponownie poeta i publicysta Eugeniusz Kurzawa, wiceprezesami Janusz Koniusz i Zbigniew Kozłowski, skarbnikiem Robert Rudiak, zaś sekretarzem Krzysztof Koziołek. Ponadto do zarządu weszły Jolanta Pytel-Marciniszyn i Katarzyna Jarosz-Rabiej. W skład Komisji Rewizyjnej wybrano Włodzimierza Kwaśniewicza (przewodniczący) oraz Krzysztofa Jelenia i Alfreda Siateckiego. Przewodniczącym sądu koleżeńskiego został Jerzy Zimny.

Najważniejszym problemem, z jakim musi się uporać nowy zarząd, jest znalezienie pieniędzy na przypadający w tym roku w listopadzie jubileusz 50-lecia istnienia ZLP na Ziemi Lubuskiej. Niestety, zarówno prezydent Zielonej Góry, jak i marszałek województwa nie przydzielili twórcom ani złotówki na tę okoliczność! A zaplanowano wydanie dwóch książek mówiących o środowisku w minionym półwieczu, jak też dwudniową konferencję naukowo-literacką.

XIX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marka Hłaski w Chorzowie:

I Miejsce – Beata Patrycja Klary z Gorzowa Wlkp.

II Miejsce – Bożena Kaczorowska z Warszawy

III Miejsce – Ida Sieciechowicz z Madrytu

A oto jeden z nagrodzonych na tym konkursie wierszy

Beata P. Klary

historia jednego węża, względnie traktat o upodobaniach

Chcesz mi zaimponować, więc mówisz o Balladynie. Przecież każdy coś o niej wie. Głównie to, że u Hanuszkiewiczą jeździła na hondzie. To takie nowoczesne, jak przekonanie: *Hitler mnie nie interesuje. Urodziłem się po wojnie i nic, co działo się wcześniej, mnie nie obchodzi. Co innego dzisiejsi terroryści.*

Zamyślamy się. Dłubiesz wykalaczką w lśniących zębach. Teraz czas na mnie. Zaczynam o południowych słońcach. Żyły przed kilkuset tysiącami lat. Jeszcze wtedy w Germanii panował tropikalny klimat. Nie było żołnierzy, ani nawet samych ludzi. Nikt na nikim nie robił wrażenia.

II

Chcesz mi zaimponować, więc przesyłasz link do filmiku. Jakaś orgia ciał z różnymi zabawkami. Nie umiem ci powiedzieć, co o tym myślę. Wypełniona po brzegi dziewczyna, może Żydówka, ma bardzo smutne oczy. Toczy wojnę na polu rąk i nóg. Pewnie tylko wakacje spędza u rodziców. Wtedy mówią, że wygląda mizernie, że za dużo pracuje.

Czytam na głos gazetę: *Policja we Frankfurcie nad Menem podaje, że nieznani sprawcy skradli z miejscowego uniwersytetu trzymetrowej długości pytona. Wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca euro dla osoby, która wskaże miejsce pobytu gada. Widzę rozcięty język na pół i kuszenie. Ostatnie jabłko zjadamy na kolację.*

LAUR ZAWODZIAŃSKI

Od dziesięciu lat poeci z całej Polski stają w szranki turnieju „O Laur Zawodziański”, organizowanego przez MDK Bogucice-Zawodzie. W tym roku wiersze oceniło jury pod przewodnictwem Marty Fox, poetki i powieściopisarki, która od wielu lat jest gwarancją wysokiego poziomu turnieju. W turnieju tym **miejsce pierwsze otrzymała Beata Patrycja Klary z Gorzowa. Gratulacje, Beatko!** Walcz dalej za nas i dla nas! Nie ma już przecież turniejowca Furmana, a ostatnio nawet Graczyka, bo do Torunia się wyniósł...

A oto jeden z nagrodzonych w tym turnieju wierszy

Beata P. Klary

łódź Charona i utrata normalnego oddechu

Gdybym udał, że rzeczy zostały na zewnątrz, przeżył zimę w stadium poczwarki, mógłbym zapomnieć co stało się latem. Chodzić do pracy ze śniadaniem w gazecie, nie myśleć o sąsiadce powieszona na dole.

Za dnia powtarzam te same sceny, chyba, że pada deszcz, ale to zdarza się bardzo rzadko. Wychodzę z baru, który czyści się ze stęchłej nocy. Jestem krewnym Hamleta i trudno mi patrzeć. Przyznaję brud jest

w jakimś sensie rzeczą naturalną, czasem nawet – rzeczą na miejscu. Popękany sedes wbity w kupę błota. Bure świerkowe patyki na mojej ulicy. Poprawia się pogoda i wraz ze śniegiem odpływa biel. Pleśnieję.

Laureaci Konkursu Literackiego im. Wł. Pietrzaka w Turku

I nagroda: Beata Patrycja Klary z Gorzowa

II nagroda Czesław Markiewicz z Zielonej Góry,

III Nagroda Hanna Dikta z Piekar Śląskich

Poznań Poetów 2011

Wielkopolska stoi poetami i świetnym pomysłem na pokazywanie pisarzy oraz tego, co zostało napisane, szerszej publiczności. Od 17 maja 2011 można było w Centrum Kultury „Zamek” oraz innych miejscach spotkać, jak również posłuchać takie gwiazdy współczesnej literatury, jak: Zadura, Zagajewski, Sośnicki, Kaczanowski, Kępiński, Nguyen Chi Thuat, Pasewicz, Rolando, Roszak, Siwczyk, Rybicki, Fijałkowska-Jakubowska, Bargielska, Biedrzycki, Wiedemann, Góra, Kobierski. Wyjątkowo ciekawe było spotkanie CZAS NA MIŁOSZA – czyli wielogłos krytyczny: Andrzej Franaszek, Grzegorz Jankowicz, Piotr Michałowski, Anna Pytlewska (wypowiedzi Franaszka – autora najnowszej biografii Czesława Miłosza – poniżej).

Osobiście natomiast zostałam miło zaskoczona zaproszeniem na NOC NOWYCH GŁOSÓW. Trzynastu poetów z Polski otrzymało akredytację do występu w ramach festiwalu. Byli to przede wszystkim finaliści i laureaci konkursu K. Janickiego, uczestnicy warsztatów DROGA DO POZNANIA, poeci rekomendowani przez Instytutu Filologii Polskiej. Czytali: Tomasz Bąk, Przemysław Wolski, Piotr Lewicki, Kira Pietrek, Sławomir Płatek, Beata Patrycja Klary, Joanna Humerczyk, Jakub Wojtaszczyk, Maja Staško, Ewa Filipowicz, Jędrzej Guzik, Lucja Dudzińska, Wiktor Krogulec. (Prowadzili: Karol Francuzik, Krzysztof



Hoffmann). Wszyscy otrzymaliśmy certyfikaty – co nas ubawiło i ucieszyło zarazem. Nasze teksty znalazły się również w publikacji o przewrotnym tytule: ALMANACH WIERSZY NIEGOTOWYCH.

Kolejnym ciekawym wydarzeniem „Poznania Poetów” była choćby „MÓWIĄCA” WYSTAWA KSIĄŻEK POETYCKICH Wydawnictwa Biblioteki Wojewódzkiej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu (z udziałem autorów). BWiCAK w krótkim czasie zaślęnęła jako wyjątkowo aktywny, wybredny i zarazem odważny wydawca poezji. Poeci, których książki ukazują się w dwóch seriach, lokalnej i ogólnopolskiej, reprezentują wszystkie pokolenia i poetyki. Obok twórców od dawna pierwszorzędnych (P. Sommer, A. Sosnowski, A. Wiedemann) pojawiło się szereg książek pisarzy nieco zapomnianych, przede wszystkim zaś sporo debiutów (Grundwald, Pietryk, Roszak). Wartą podkreślenia cechą tego wydawnictwa jest znakomita oprawa graficzna, dzieło Piotra Zdanowicza.

Można było na festiwalu wziąć udział również w otwartym popisie słamerów z Polski i Czech oraz w meczu piłkarskim – Młodsi poeci kontra Reszta świata. Było odświętnie i zabawnie, a poezja przelewała się litrami.

Beata P. Klary

1 czerwca 2011 roku

Komisarz Miłosz Bartosz Kleemann z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gorzowie Wielkopolskim spojrzął na pancerną szafę kryjącą specjalne dokumenty. Otwierając ją uśmiechnął się pod nosem. Cieszył się na myśl o awansie. O stopniu nadkomisarza marzył od dwóch lat, bynajmniej nie ze względu na kolejną gwiazdkę na pagonie, co bardziej na myśl o dodatkowych 139 złotych i 36 groszach do comiesięcznej pensji. Ale był też i nieco mniej przyjemny aspekt kopa w górę, jak nazywali to z kolegami, a mianowicie przeprowadzka. Kleemann zasepił się, wzdychając. Na stare lata przyjdzie mu przenieść się do Zielonej Góry! Kto by pomyślał? On, zagorzały fan Staleczki, w sezonie będzie musiał albo gnać 112 kilometrów na każdy mecz, albo słuchać warkotu motorów, na których zasiadać będą jeźdźcy Falubazu. Na tę ostatnią myśl aż go skreśliło w dołku. W życiu! Prędzej odejdzie ze służby, zadowolając się wcześniejszą emeryturą, czyli nędznymi 50 procentami obecnego uposażenia – niż będzie kibicować Mysze Miki.

Wzdrygnął się – zupełnie tak, jakby za kołnierz wpadł mu sople lodu – przekręcił uchwyt i otworzył drzwi. Przeglądnięcie dokumentów zajęło mu dwie godziny, sterta przeznaczona do przeniesienia do archiwum sukcesywnie zapełniała kartony, aż w szafie pozostała tylko jedna teczka.

Komisarz Kleemann – wkrótce nadkomisarz – sięgnął po nią ruchem niemal nabożnym, mającym w sobie coś z czci, jaką otaczał człowieka, którego ta sprawa dotyczyła. – Boże – westchnął. – To już czternaście lat – otworzył teczkę, kartkując zawartość. Kiedy zatrzymał wzrok na zeznaniach niedoszłego zamachowca, wstrzymał oddech i zamknął oczy. W tym samym ułamku sekundy w głowie pojawił się film. Chociaż od tamtego dnia Warta zdążyła przemielić miliardy metrów sześciennych wody, obraz wciąż był wyraźny i soczysty, zupełnie jakby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj...

2 czerwca 1997 roku

Starszy sierżant Miłosz Bartosz Kleemann nudził się jak mops, pocąc się przy tym tak mocno, że w pewnym momencie zaczął się nawet zastanawiać, co będzie, jeśli wpadnie w oko jednej ze wszędobylskich telewizyjnych kamer? Już miał podnieść prawą rękę do góry, aby sprawdzić wielkość plamy pod pachą, gdy spostrzegł, że ta rozlała się na korpus.

– Szlag by to – zaklął pod nosem i od razu pożałował, zganiony wzrokiem przez siostrę zakonną, którą akurat kontrolował. Uśmiechnął się przepaszając, po czym oddał zakonnicy klucze i ciężki żelazny krzyż, który to natychmiast zawiesiła z powrotem na szyi. Kiedy przeszła przez bramkę do wykrywania metali, obróciła się i żartobliwie pogroziła palcem. Zrewanżował się szerokim uśmiechem, jednak ten szybko zgasł, gdy tylko przerzucił ciężar ciała na lewą stopę. Pięta, odparzona po kilkugodzinnym staniu na pracującym słońcu, zabolala niemiłosiernie.

– Jak nic, musiał się zrobić pęcherz – westchnął, zerkając na bramkę położoną przy sąsiednim wejściu, gdzie zrobiła się spora kolejka. Obsługująca ją policjantka najwyraźniej nie radziła sobie z sytuacją, bo od dłuższej chwili nerwowo gestykulowała, tłumacząc coś postawnemu mężczyźnie w koloratce.

Po chwili do Kleemanna dobiegło kilka słów po niemiecku, wtem zobaczył, jak jeden z lektorów ubranych w długą albę, niemal ciągnąc się po ziemi, wychodzi z kolejki i podchodzi do samej bramki. Na widok trzech butelek wody mineralnej, które chłopak trzymał pod pachą i w dłoni, Kleemann bezwiednie oblizał usta. Ile by dał za łyk wody, nawet ciepłej!

Odsunął na bok natrętą myśl, patrząc, jak lektor wolną rękę wkłada do kieszeni, wyciąga z niej coś i kładzie na tacce obok bramki, ruchem głowy kontrolując poczynania policjantki, niezwracającej na niego najmniejszej uwagi. Potem, nie czekając na kontrolę osobistą, przeszedł przez bramkę, zgarnął fanty z tacki i zniknął w tłumie.

Kleemann podrapał się po głowie, próbując w myślach ułożyć to, czego właśnie był świadkiem. Chociaż dobiegała piąta po południu, słońce nadal niemiłosiernie grzało i starszy sierżant miał problemy z koncentracją. Nagle, niczym błyskawica, w głowie pojawiła się myśl: gdyby ktoś chciał dokonać zamachu na papieża, musiałby spełnić trzy warunki. Pierwszy, dostać się w pobliże drogi, którą miał jechać papamobile. Drugi, przemycić broń na błonia przy kościele Pierwszych Męczenników Polskich. Trzeci, zaplanować ucieczkę, o ile nie było się samobójcą.

Policjant mimowolnie oblizał spierzchnięte usta. – Przebranie księdza byłoby zbyt oczywiste. Siostra zakonna też nie wchodziła w grę, bo pingwiny mogły wejść tylko do jednego sektora – analizował gorączkowo półgłosem. Ale był ktoś, kto miał łatwy dostęp do wszystkich sektorów!

– Lektorzy będą roznosić komunię. Na ten czas wolno im się poruszać po całym terenie. Zrozumiano? – Kleemannowi dudniły w uszach słowa komisarza Mrocza z porannej odprawy. Funkcjonariusz wiedział już, jakiego przebrania może użyć zamachowiec. Teraz pozostało odpowiedzieć na pytanie: kiedy dojdzie do zamachu?

– Komunia! – myśl narzucała się sama, bo właśnie wtedy lektorzy razem z księżmi będą się przemieszczać po sektorach, także mniej więcej w tym samym czasie miał nadlecieć helikopter z Jego Świątobliwością.

Kleemann poczuł, że pot zaczyna go wręcz zalewać. Zdarzało się tak tylko na meczach szóstek piłkarskich i wtedy, kiedy przełożonemu miał zgłosić coś ważnego. I nie chodziło nawet o to, że Mroczek go wyśmiej, gorsze było to, że jeśli sfiksował, tego samego wieczora cała komenda będzie wiedzieć o wtopie.

Otarł czoło, podejmując błyskawiczną decyzję. Sięgnął po nadajnik, poprosił o połączenie ze sztabem dowodzenia, po czym streścił krótko przypuszczenia, podał też numer bramki, przez którą przeszedł lektor z butelkami wody.

*

Minutę później wprowadzono alarm, a snajperzy rozstawieni na dachach pobliskich bloków otrzymali zadanie śledzenia ubranych na białą postaci. W tym samym czasie Kleemann – po raz pierwszy od dawien dawna – zaczął się modlić, prosząc Boga, aby jego podejrzenia okazały się fałszywe.

*

Kiedy do uszu czterystu tysięcy pielgrzymów doleciał odgłos silników helikoptera, przez tłum przeszła fala czegoś, czego nie dało się opisać słowami, ale co czuł każdy obecny na placu, może poza tymi, którzy na jego obrzeżach piekli kiełbaski na grillach. Kilka minut później na drodze dojazdowej do ołtarza, rozdzielającej sektory na te mniej i te bardziej uprzywilejowane, pojawił się papamobile. Tłum zaczął skandować „Witamy Cię”, niektórzy rzucali kwiaty na ziemię tuż przed jadący pojazd. Auto dojechało do skrzyżowania z szeroką drogą wiodącą w kierunku północnym, którą na czas przejazdu zamknięto solidnymi barierkami. Teraz stało przy niej kilkanaście postaci ubranych na białą.

*

Gdyby nie alarm podniesiony przez starszego sierżanta Kleemanna, z dużą dozą prawdopodobieństwa nie udałoby się w porę dostrzec 21-letniego młodzieńca, ubranego na białą jak pozostali lektorzy. Kiedy mężczyzna sięgał pod albę przybrudzoną już nieco kurzem, poczuł żelazny ucisk czyjejś ręki na ramieniu. Ułamek sekundy później zemdlął, nie zdając sobie nawet sprawy, że zastosowano wobec niego specjalny chwyt.

Policjant z brygady antyterrorystycznej delikatnie położył bezwładne ciało na ziemi, po czym dla niepoznaki skropił twarz wodą. Wezwał karetkę, nie radiowóz, aby nie ryzykować wybuchu paniki.

dok. ze strony 23

Pół godziny później Kleemannowi okazano niedoszłego zamachowca, nie rozpoznał w nim chłopaka z butelkami wody pod pachą, ale po prawdzie przy bramce nie dostrzegł twarzy.

Mężczyzna miał przy sobie Walthera PPK z pełnym magazynkiem naboju. Od dwóch lat walczył z silną psychozą, miesiąc wcześniej wypuszczono go do domu na przepustkę. Nie wrócił z niej.

*

Premier Kazimierz Cimoszka zakazał upubliczniania tych informacji. Bo co powiedziałyby świat, dowiedziawszy się, że papieża Polaka chciał zamordować jego rodak? Że chory psychicznie? Nieważne, liczyłby się fakt, a ten mógł fatalnie wpłynąć na wynik wrześnieowych wyborów.

*

1 czerwca 2011

Kleemann spojrział na papierzyska rozrzucone na biurku. Tak naprawdę nie miał prawa ich mieć, zgodnie z protokołem spisany wieczorem 12 czerwca 1997 roku wszelkie kopie dotyczące tej sprawy zniszczono.

Komisarz przygryzł wargę, zastanawiając się, co zrobić z ostatnim śladem niedoszłego zamachu. Myślał dłuższą chwilę, po czym zgarnął kartki, układając w równy stos i włączył niszczarkę. Zgrzyt noży rozdarł się głośnym dźwiękiem, jakby w ten sposób maszyna chciała zaprotestować przeciwko zacieraniu śladów historii, która wydarzyła się na oczach niczego nieświadomych czterystu tysięcy osób. Prawie czterystu tysięcy, bo przecież nie licząc tego jednego funkcjonariusza, którego oczy w pewne upalne czerwcowe popołudnie na gorzowskich błoniach wylały fałszywego lektora.

Krzysztof Koziółek

Krzysztof Koziółek –

laureat „Wawrzynu Lubuskiego” za 2010 r.



Z uwagi na swój młody wiek i drzemający w nim potencjał twórczy, a także spory już dorobek artystyczny, okazał się istnym objawieniem ostatniego sezonu wydawniczego i najbardziej obiecującym lubuskim

pisarzem ostatnich lat – czytamy w uzasadnieniu decyzji o przyznaniu nagrody.

– Ten gatunek literatury, który uprawiam, złośliwi nazywają literaturą wagonową. Nie obrażam się z tego powodu. A ci złośliwcy chyba nie zdają sobie sprawy, jak wielką sztuką jest napisanie powieści, która oderwie uwagę pasażera polskich kolei od gehenny podróży – powiedział autor, dziękując za przyznanie Wawrzynu Lubuskiego.

Krzysztof Koziółek mieszka w Nowej Soli. Powyższe opowiadanie napisał specjalnie dla „Pegaza” jako reminiscencję z pamiętnej wizyty w Gorzowie.

Ferdynand Głodzik Własnym nosem

Można zwariować, powiedzmy
ściśle;
nastał Internet i nowa era;
ludzie w tej sieczce przestają
myśleć;
tak duch narodu zwolna umiera.

Choć zwykle cienką mamy
wyplatę,
nie ma powodów płuć sobie
w brodę,
bo nasze miasto bardzo bogate;
nas na Rubika stać i na Dodę.

Wszyscy jesteśmy zupełnie pewni,
że Europę trzeba doganiać.
Mnie podpuszczają wciąż młodzi
gniewni,
a ja się przy nich rozchuliganiam.

Podziemne przejścia oraz ulice,
inni je brudzą i szpecą sprej'em;
nowe stadiony niszczą kibice;
już nam zostały tylko tramwaje.

W tej sytuacji jak liść się pietram,
strach się maluje na mojej gębie;
czeka nas chyba budowa metra,
aby totalną osiągnąć głębię.

Jeszcze w nas siły ogromne
drzemiam,
jak wieszczy stara inteligencja,
bo w szarej strefie, gdzieś tam
pod ziemią,
też tkwi u licha jakiś potencjał!

Chociaż się groszem publicznym
szasta,
i górnolotne pomysły wspiera,
to nadal chlubą naszego miasta,
zostaje stary chudy literat.

bo królował zapateryzm,
panowały się mohery
i pomrocność kwitła jasna,
aż mieszkańcy czuli absmak.

Gorzów Wlkp. 03. 02. 2011 r.

Zbigniew Murawski Poeta

Poeta, rzecz niezwykła.
Bywa między nami
z głową nieobecną,
w kieszeniach z dziurami.
Poranki ociężałe nocami przeżywa.
Rachunków nie płaci,
czasem nadużywa.
Kreując przyrodę kałuży nie widzi.
Kocha innych za wszystko,
choć los z niego sztydzi,
że odmieniec takowy stanął
na rozdrożu.
Że tonie i nie pływa
w codzienności morzu.
Poeta rzecz ciekawa,
mówiący wierszami,
nieraz nogę złamie łącząc poboczami.
Bo umysł marnuje zajmując się niczym
a czasu nie staje
dla spraw zasadniczych.
Dlatego kłopotom może on nie sprostać.
Jakże nieprzyjemnie jest poetą zostać.
I w świecie dzisiejszym poetów ubywa.
Ciężko jest być poetą.
Znacznie gorzej bywać.



Czasopismo literackie pod auspicjami
WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie; red. nac.:
Ireneusz K. Szmidt, tel. kom. 501 520 227,
tel/fax 95 729 50 80

sekretarz: Danuta Zielińska; współpraca:
Krystyna Kamińska, Marek Grewling,
Beata P. Klary. Zdjęcia: I. K. Szmidt, Z.
Olchownik, archiwa wydawcy i autorów.
Projekt okładki: Zbigniew Olchownik.

Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka
Publiczna im. Z. Herberta, ul. Sikorskiego
107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@
wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP w Gorzowie, ul.
J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp.
e-mail.wag.arsenal@wp.pl;
e-mail.zlp.gorzow@wp.pl;
e-mail.i.k.szmidt@wp.pl;

www.zlp.gorzow.prv.pl;

Skład komputerowy:

Daniel Besta i I. K. Szmidt.